DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

PAX

Cena 60 gr.

Rok VIII — Warszawa, 30 listopada 1952 r. — Nr 48 (366)

W NUMERZE m. in.:

Dominik HORODYŃSKI

Z PERSPEKTYWY PARYŻA I BERLINA

DZIĘKI uprzejmemu zaproszeniu kierownictwa organizacji „Pax Christi" mogłem — wraz z Wojciechem Kętrzyńskim i Konstantym Łubieńskim — spędzić w Paryżu tydzień zapełniony interesującymi spotkaniami i rozmowami. Z Francji pojechałem na Konferencję Berlińską w sprawie pokojowego rozwiązania problemu Niemiec, w której uczestniczyłem jako członek delegacji polskiej. Zebrało się więc sporo materiału obserwacyjnego, którym postaram się podzielić z czytelnikami w tym sprawozdawczym artykule.

PO CZTERECH LATACH

W Paryżu spotkaliśmy się z nadzwyczaj serdecznym przyjęciem ze strony różnych środowisk francuskich. Szczególnie troskliwą opieką służył nam p. Vaussard — sekretarz Pax Christi, — który niestrudzenie umawiał nas na różne spotkania tak, że w krótkim stosunkowo czasie zdołaliśmy się rozmówić z wielką ilością osób reprezentujących szeroki wachlarz poglądów. Oto, dla przykładu, kilka ważniejszych spotkań: audiencja, jakiej zechciał udzielić nam ksiądz arcybiskup Paryża Feltin; rozmowy z zespołami redakcyjnymi „Temoignage Chretien", „La Vie Catholique Illustre", „Esprit", „Le Monde", „Vie Intellectuelle", „La Quinzaine", spotkania dyskusyjne z takimi środowiskami jak „Pax Christi", OO. Dominikanie, OO. Jezuici, Centre des Intellectuelles Catholique, Action Populaire, posłami z MRP, czołowymi działaczami z ruchu pokoju i z wielu innymi. Nie jedno z tych spotkań indywidualnych lub zbiorowych zamieniało się w wielogodzinną dysputę ideologiczną lub polityczną. Na pewno nikt z nas nie jest w stanie przekazać wszystkich zebranych wrażeń. Musieliśmy się rolami podzielić. W następnym numerze „Dziś i Jutro". W. Kętrzyński omówi intelektualną i ideologiczną problematykę katolickich środowisk francuskich, następnie zaś K. Łubieński zajmie się zagadnieniami społeczno-gospodarczymi.

Moim dzisiejszym zadaniem jest ogólna synteza zmian, jakie dokonały się w ostatnich latach w położeniu Francji i w pozycji ideowo-politycznej pewnych środowisk francuskich. Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam, że w toku tego artykułu nie będę pisał o stanowisku Komunistycznej Partii Francji. Stanowisko to jest w Polsce powszechnie znane. Od chwili zakończenia wojny komuniści prowadzą we Francji walkę o wyzwolenie społeczne mas, o niezależność narodową i o pokojową politykę zagraniczną. Walka ta trwa i kierunek jej nie uległ żadnym zmianom. Przesunięcia natomiast dokonały się w środowiskach niekomunistycznych i nierobotniczych. Mają one jednak duże znaczenie, gdyż — o tym trzeba pamiętać— Francja jest krajem o mocno rozbudowanym i rozgałęzionym mieszczaństwie i drobnomieszczaństwie. Krajem nadal znacznie bardziej typowo kapitalistycznym niż np. Polska z 1939 r.

We Francji byłem parokrotnie. Mogłem więc osobiście obserwować zmiany w opinii publicznej tak charakterystyczne dla powojennego okresu dziejów Europy. W 1946 r. w Paryżu witano nas jeszcze serdecznie. Odwieczną przyjaźń i bliskość psychiczną dwóch narodów można było sprawdzać na każdym kroku w każdej nieomal rozmowie. Przyjaźń ta wydawała się jeszcze wzmocniona niedawną wspólną walką z hitleryzmem. Już jednak w 1948 rzeczą bezcelową dla przybysza z Polski były próby znalezienia wspólnego języka z tymi środowiskami, które decydowały o kierunku polityki francuskiej. Przybysz taki traktowany był tam jako wysłannik „przewrotu", jako przedstawiciel tego wszystkiego przed czym Francja musi się bronić, uważany był za wroga dobrych sił historii.

W następnych latach już żaden publicysta polski nie mógł obserwować dalszych zmian w opinii francuskiej, gdyż z reguły nikt nie otrzymywał wiz wjazdowych. Okazało się, że presja polityki amerykańskiej może na jakiś czas odsunąć Francję daleko od tych krajów Europy, dla których kultura francuska przez wieki była rzeczą bliską i cenną, że Paryż może znaleźć się dalej od Warszawy niż Pekin.

„Zimna wojna" i pogłębiający się podział Europy, mimo swej całej sztuczności i zewnętrznych przyczyn powoduje jednak realne konsekwencje. Oddala od siebie narody i ludzi. „Czy w ogóle będę mógł rozmawiać z ludźmi, którzy przed czterema laty patrzyli na mnie jak na raroga?" — myślałem, przeglądając bogaty program spotkań zaproponowanych przez p. Vaussard.

I od razu, od pierwszego dnia przyjemne zdziwienie. Rozmawiałem w tym samym miejscu z tymi samymi osobami, lecz klimat rozmowy w niczym nie przypominał spotkań z jesieni 1948. Dawna podejrzliwość, nieufność i niechęć ustąpiły miejsca wspólnej trosce i wzajemnej radości, że znów Polacy i Francuzi omawiać mogą jak przyjaciele zagadnienia ważne dla prrzyszłości obu naszych krajów. Ta nuta wzajemnej troski i ponownego nawrotu zaufania przewijała się przez wszystkie prawie nasze kontakty paryskie. Oczywiście dzieliła nas różnica w poglądach na wiele bardzo ważnych spraw, o czym obie strony doskonale wiedziały, ale jeśli idzie o podstawowe sprawy współczesnej Europy, dotyczące remilitaryzacji Niemiec oraz wojny i pokoju porozumienie następowało natychmiast.

Skąd to zaufanie, skąd ten nowy — a właściwie, jeśli chodzi o Francuzów i Polaków, jakże dawny i bliski — język? Co stało się we Francji przez te cztery lata?

KLĘSKA ATLANTYCKICH OBIECANEK

PRZY użyciu bogatego arsenału środków Amerykanie narzucili Europie „zimną wojnę". Środkiem starym, lecz najskuteczniejszym był strach. Burżuazja francuska bała się własnej klasy robotniczej. Propaganda amerykańska dodała do tego naturalnego uczucia strach przed rzekomym szykowanym z dnia na dzień marszem dywizji komunistycznych ze Wschodu. I podsunęła lekarstwo: polityczną jedność Europy zachodniej opartą o pomoc i siłę Ameryki. Mając przed oczyma Armię Czerwoną na Łabie część mieszczańskiej opinii Francji naiwnie uwierzyła w dobre intencje polityków amerykańskich. Jedność miała być demokratyczno-liberalna, antyfaszystowska, lecz zapewniająca status quo układu społecznego i kontynuację stylu życia europejskiego burżuja, miała to być jedność gwarantująca niepodległość i rozwój gospodarczy uczestniczącym w niej państwom.

W ciągu czterech lat drogą szeregu aktów międzynarodowych od paktu atlantyckiego poczynając, na układzie ogólnym i paryskim kończąc, jedność ta została zrealizowana. Nastąpiła tzw. europeizacja Europy.

Widać jednak, że sens tej „jedności" inny być musi od tego, czego się spodziewano, skoro w Paryżu zamiast ludzi zadowolonych z osiągniętego celu, spotkaliśmy ludzi rozgoryczonych i pełnych niepokoju.

Podstawowy błąd mieszczaństwa francuskiego to fałszywa diagnoza rzeczywistości. Propaganda jest środkiem potężnym; po śmierci nieszczęsnego Forrestala — człowiek ten zginął od strachu, którym wojował — zaczęło ludziom świtać w głowach, że na Łabie żadnej armii przygotowanych na „podbój" Europy nie ma. Nie ma tak nastawionych armii i nigdy nie było, gdyż polityka podboju i wojny jest całkowicie sprzeczna z linią rozwoju ZSRR i krajów demokracji ludowej. Lecz przeciwko nieistniejącemu zagrożeniu pozostała „jedność". Cieszy ona mniej, niż miała cieszyć, gdyż zmieniły się jej przymiotniki — te najistotniejsze, w imię których wówczas, przed laty, opinia francuska na drogę amerykańskiej „jedności" Europy wstąpiła.

Miała być jedność oparta o pomoc Ameryki — jest podporządkowana interesom Ameryki. Miała być obronna — jest zaczepna. Miała zabezpieczać pokój — zwiększa groźbę wojny. Miała być demokratyczna i bronić wolności — a najlepiej czuje się w niej Franco, generałowie Hitlera i neofaszyści włoscy. Miała gwarantować niepodległość państw zachodnich — a uzależnia Francję nie tylko od Ameryki, coraz bardziej uzależnia ją od rodzącego się imperializmu Niemiec Adenauera. Zamierzenia „europeizacji" Europy przekształciła więc w amerykano-germanizację...

To wszystko, oczywiście, nie psuje humoru małej grupie wielkich kapitalistów, rządzących w tej chwili Francją. Czerpią oni ogromne zyski z przemysłu zbrojeniowego i mało wzrusza ich bezpieczeństwo i przyszłość kraju. Lecz szeroka opinia publiczna, ci wszyscy, którzy kochają Francję, nie dają się zwieść pozorami względnego dobrobytu i coraz jaśniej widzą, że dalsza kontynuacja polityki ostatnich lat niesie z sobą śmiertelne niebezpieczeństwo dla przyszłości Francji.

Strach przed przyszłością to dominujące dziś uczucie wśród myślących Francuzów.

TRAGICZNE PERSPEKTYWY

ISTOTNIE doświadczenia ostatnich lat obfitują w przesłanki do poważnych obaw. W świecie zorganizowanym przez Amerykę, która nazywa siebie „wolnym światem" i światem „prawdziwego pokoju", wiele jest miejsca na wojny wewnętrzne i zaciekłe walki konkurencyjne. I tu i tam polityka francuska ponosi klęski. Tra-

(Dokończenie na str. 2-ej)

PIERWSZA SESJA SEJMU

WYŁONIONY w wyniku wyborów, przeprowadzonych na płaszczyźnie Frontu Narodowego, Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej odbył swą pierwszą sesję. Obfitowała ona w wydarzenia, mające doniosłe znaczenie dla życia i rozwoju naszego kraju.

Ukonstytuowano najwyższe organa władzy państwowej. Powołana została Rada Państwa, której przewodniczy wybitny działacz robotniczy i państwowy Aleksander Zawadzki. Utworzony został nowy Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Na czele Rządu stanął jako Prezes Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Bolesław Bierut.

Z nazwiskiem Bolesława Bieruta wiążą się wszystkie przełomowe decyzje i historyczne zwycięstwa Polski Ludowej. Jako czołowy działacz ruchu robotniczego, jako twórca i Prezydent Krajowej Rady Narodowej, a następnie Prezydent Rzeczypospolitej, wreszcie jako Przewodniczący Frontu Narodowego — jest Bolesław Bierut człowiekiem, którego pełna oddania i mądrości praca na najbardziej odpowiedzialnych stanowiskach miała historyczne znaczenie dla życia i rozwoju naszego kraju i narodu. Przez wybór Bolesława Bieruta na stanowisko Prezesa Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sejm powierzył mu kierowniczą i najbardziej odpowiedzialną funkcję w naszym państwie. Zarazem aktem tym Sejm dał wyraz przekonaniu, że wybór ten stanowi istotny czynnik pomyślnej realizacji zadań zakreślonych Programem Frontu Narodowego: utrzymania pokoju, gospodarczego i kulturalnego rozwoju kraju, pogłębienia przyjaźni i współpracy z ZSRR i krajami obozu pokoju, zabezpieczenia granicy na Odrze i Nysie oraz umacniania obronności Państwa.

Realizacja dalekosiężnych zadań Programu Frontu Narodowego stanowi naczelną wytyczną pracy nowego Rządu. W pracy tej wysiłki Rządu muszą złączyć się z wysiłkami całego narodu. Prezes Rady Ministrów, Bolesław Bierut, w swoim exposé na forum Sejmu stwierdził, że tempo osiągnięć zarówno w zakresie rozbudowy i umacniania siły Państwa, jak i w zakresie podnoszenia stopy życiowej ludności jest zależne „od czynnego poparcia przez cały naród wysiłków Rządu". Te słowa przypominają o ciążącej stale na wszystkich Polakach, bez względu na różnice światopoglądowe konieczności zwiększania swego wkładu w pracę dla realizacji ogólnonarodowych zadań i konieczności umacniania jedności całego narodu.

Z radością należy przyjąć fakt, że jedną z pierwszych ustaw przyjętych przez nowy Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest ustawa o amnestii, uchwalona dla upamiętnienia dnia 22 lipca 1952 r., jako dnia wejścia w życie nowej Konstytucji. Fakt ten ma swoją wymowę. Jest wyrazem dążenia, by uwikłanym w przestępstwa wymierzone przeciwko Państwu ludziom, zwłaszcza zaś młodzieży, umożliwić powrót do społeczeństwa i do uczestnictwa w twórczej pracy, w której potrzebni są wszyscy, a która daje szanse przezwyciężenia i naprawienia popełnionych błędów. Jest to z drugiej strony wyrazem siły wewnętrznej Państwa Ludowego, które stać na ogłoszenie trzeciej amnestii w ciągu 8 lat jego istnienia.

W wysiłku urzeczywistniania Programu Frontu Narodowego, będącego udziałem wszystkich Polaków, czynnie uczestniczą również szerokie rzesze katolików polskich. Katolicy polscy, przyczyniając się swoją pracą do rozwoju i siły swojego Państwa i umacniając jedność narodu wbrew rachubom wrogich czynników zagranicznych, usiłujących wywołać niepokój i rozbicie wewnętrzne, nie tylko służą w ten sposób interesom swojego narodu, ale wzmacniają pozycję światopoglądową katolików we Froncie Narodowym.

Pierwsza sesja sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uzmysławia jeszcze wyraźniej wszystkim Polakom obowiązek twórczego uczestnictwa w budowie lepszej przyszłości naszego kraju, którego dobro jest naszą wspólną sprawą. I ten fakt zobowiązuje do umacniania Frontu Narodowego, do ofiarnej, codziennej pracy w walce o zachowanie pokoju w świecie i lepszą przyszłość naszego kraju.

(Dokończenie ze str. 1)

giczna, ciągnąca się bez końca wojna w Vietnamie kosztuje dotychczas Francję więcej niż była warta cała pomoc amerykańska otrzymana po wojnie. Na tej „brudnej“ wojnie giną ludzie, zdziesiątkowany został młody korpus oficerski. Bunt przeciwko wysyłkom dalszych wojsk, przeciwko kontynuacji tej imperialistycznej, niesprawiedliwej wojny, bunt podjęty przez klasę robotniczą, stopniowo obejmuje całe społeczeństwo francuskie.

Jeśli idzie o walki konkurencyjne to francusko-amerykańska rozgrywka nastąpiła jak wiadomo w Afryce Północnej, czyli na francuskim terytorium. Kapitał francuski poniósł ciężką klęskę na rzecz mocniejszego i brutalnego konkurenta amerykańskiego.

Konflikt afrykański jest główną przyczyną wzrostu antyamerykańskich nastrojów wśród wielkiej burżuazji, dla szerokiej jednak opinii decydującą jest sprawa niemiecka. Amerykanie od junkrów pruskich uczą się stosunku do pozostałych europejczyków, od Prusaków przejęli sposób traktowania Francuzów i Włochów. Gdy przed paroma tygodniami Eisenhower oświadczył, że „Francja ma zwichnięty kościec moralny“, dał po prostu wyraz powszechnemu przekonaniu przywódców imperializmu amerykańskiego, którzy pogardzają wszystkim co skomplikowane, kulturalne i inteligentne.

Francuzi wiedzą, że Ameryka postawiła na Niemcy. Na stare militarystyczne i imperialistyczne Niemcy, których potęgę odbudować chce za wszelką cenę kosztem w pierwszym rzędzie interesów i bezpieczeństwa Francji. Przemysł niemiecki, armia niemiecka, polityka i żądania niemieckie — to ma decydować w amerykańskiej Europie.

W ostatecznym rachunku polityka amerykańska najbardziej godzi w interes narodu niemieckiego, gdyż pcha go znowu na drogę beznadziejnych podbojów, na drogę ostatecznej klęski. Na najbliższą metę ta polityka pozornie najbardziej zagraża Polsce, gdyż odgrzewany dolarami imperializm niemiecki rośnie na nagonce przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Ale inteligentni Francuzi dobrze wiedzą, że w każdym rachunku — i bieżącym i ostatecznym — niemiecka polityka amerykańska uderza głównie i bezpośrednio w interes a nawet w byt narodu francuskiego. Jeśli Amerykanie rozpętają wojnę ruina Francji jest równie pewna jak ruina Niemiec i reszty Europy. Już zaś teraz sytuacja Francji w stosunku do zamerykanizowanych Niemiec jest bardzo zła. Francja ma bowiem taki system sojuszów, że teraz ma ona przeciwko sobie i Niemcy i Amerykę w obrębie „własnego“ bloku.

Republika Związkowa Adenauera istnieje od niedawna, a już mężowie stanu w Bonn pozwalają sobie na oświadczenia w stosunku do Francji, z którymi Hitler wstrzymywał się aż do 1939 roku. Francuzi mają dostatecznie dużo wyobraźni, by przewidzieć, jak układ stosunków francusko - niemiecko - amerykańskich wyglądać będzie za dwa lata. Gdy do tego dodamy zaangażowanie się rządu francuskiego przeciwko całemu obozowi narodów broniących pokoju przed imperializmem amerykańskim otrzymamy zaiste tragicznie paradoksalny obraz sytuacji politycznej kraju, którego mądrość była chlubą myśli europejskiej.

Koroną wieńczącą polityczną drogę Francji ostatnich lat jest dziś już dla każdego Francuza widoczna dynamika rozwoju bloku amerykańskiego. Poprzez wojny kolonialne, poprzez wewnętrzne walki rozstrzygane zawsze na korzyść silniejszego, poprzez remilitaryzację Niemiec, dynamika ta wiedzie do nowej wojny światowej. I Francja coraz gorzej czuje się na tej drodze.

PRZESUNIĘCIA W OPINII

TE doświadczenia „pomocy“ amerykańskiej sprawiły, że zostaliśmy przyjęci w Paryżu serdecznie. Było o czym mówić. Nasi rozmówcy pytali nas o budownictwo socjalistyczne, o życie religijne i kulturalne Polski. W każdej rozmowie z reguły zjawiał się problem obrony pokoju i wspólnego przeciwstawienia się remilitaryzacji Niemiec. Jedność interesów narodowych Francji i Polski zagrożonych przez tego samego wroga, jedność która łączyła nasze kraje przez tyle pokoleń znów doszła do głosu. W szerokich kontaktach mogliśmy stwierdzić, na jak nikłych podstawach społecznych opiera się amerykańsko-niemiecka polityka obecnego rządu.

Francuzi lubią myśleć logicznie i nie mogą zrozumieć, dlaczego ich zadaniem ma byś kwestionowanie granicy na odrze i Nysie, gdy granicą tą Polska złamała raz na zawsze potęgę pruską, która tylekroć zdruzgotała Francję. Nie rozumieją, dlaczego potęga pruska ma być odbudowana wysiłkiem dyplomacji francuskiej i pracą ludu francuskiego, dlaczego wysiłkiem Francji utrzymywany ma być sztuczny podział Europy i bezsensowna groźba nowej wojny; dlaczego byli hitlerowcy mogą rozbijać się po Francji jak po swoim folwarku a z rzadka tylko przyjechać może Polak, nigdy zaś obywatel NRD, pierwszego państwa niemieckiego, którego rząd stwierdza, że nigdy już więcej naród niemiecki nie będzie zagrażał bezpieczeństwu Francji. Takich pytań bez odpowiedzi jest coraz więcej. Francuzi przez pokolenia symbolizowali idee postępu i wolności, od wieków czuli się przewodnikami w rozwoju kulturalnym ludzkości, dziś jeszcze mają poczucie odpowiedzialności za schedę i przyszłość cywilizacji nie tylko własnej ojczyzny. Jakże im wytłumaczyć, że dla ogromnej części świata, tej która jest w historycznym pochodzie, oblicze ich kraju ma utożsamiać się z tym, co niesie światu Franco, Adenauer i Guderian, Lisynman i japońscy fabrykanci broni i wreszcie Eisenhower, osobistość dla każdego Francuza w najwyższym stopniu obca. W imię jakich celów mają zrezygnować z kontaktu kultury francuskiej z setkami milionów odbiorców?

Na te wszystkie pytania bez odpowiedzi jest antyamerykanizm. W tej chwili jest on pewnego rodzaju modą we Francji, ale „dobrą modą“ — jak mawiał Słowacki, gdyż demobilizuje siły prące do wojny, utrudnia i opóźnia przygotowania.

Radykałowie francuscy — Herriot, Daladier, Paul Boncour — ulegają tej „dobrej modzie“. Mówią o polityce niezależności itd. Jeden z czołowych publicystów politycznych Francji, człowiek jak najdalszy od marksizmu, zapytany przeze mnie jak ocenia sytuację zachodniej Europy odpowiedział: „Cóż, Stalin się sprawdza. Dla nas zupełnie nieoczekiwanie narastają gwałtowne sprzeczności między państwami kapitalistycznymi“. Coraz więcej ludzi rozumie, że sztuczny podział Europy, „żelazna kurtyna“ i próba blokady ekonomicznej krajów socjalistycznych zabójcze są dla interesów wspólnoty europejskiej („wspólnoty“ — w dobrym, prawdziwym znaczeniu tego słowa, nie w atlantyckim żargonie) i że ostrzem swym uderza w interesy krajów zachodnich a przede wszystkim Francji.

Wielu intelektualistów katolickich stwierdza: „nadejście demokracji ludowej będzie jedynym rozwiązaniem“.

Oczywiście nie trzeba tych wszystkich objawów przeceniać. Presja amerykańska na Francję jest potężna i prawdopodobnie będzie wzrastać. Fakt jednak pozostaje faktem: poważne przesunięcia w opinii publicznej Francji wskazują, że ten wspaniały i pełen zasług kraj ma coraz wyraźniej dosyć obcej mu drogi.

BERLIN

MIĘDZYNARODOWA Konferencja w sprawie pokojowego rozwiązania problemu niemieckiego odkładana była z miesiąca na miesiąc z powodu wrogiego stanowiska rządów francuskiego, szwajcarskiego, duńskiego i szwedzkiego, które kolejno odmawiały wiz delegatom z Niemiec i z krajów demokracji ludowej. Zebrała się ona wreszcie w Berlinie i przyznać trzeba, że to miasto, jako stolica Niemiec najbardziej nadawało się na miejsce konferencji poświęconej zagadnieniu niemieckiemu. Już sam fakt miejsca konferencji był klęską tych wszystkich sił, które tak troskliwie starały się uniemożliwić jej odbycie. Klęską podwójną. Po pierwsze do Berlina łatwiej niż do innej stolicy przyjechać mogła bardzo liczna delegacja z Niemiec zachodnich i przeprowadzić wyczerpującą dyskusję z licznymi przedstawicielami NRD. Wrogom konferencji właśnie o to chodziło, by do szerokiego spotkania między Niemcami nie dopuścić. Po drugie konferencja odbyła się w Berlinie wschodnim, stolicy NRD, co uwypukliło pokojową rolę NRD i umożliwiło delegatom zachodnim osobiste przekonanie się o pokojowej polityce rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Początkowo chciano obradować w Berlinie zachodnim, musiano jednak tego projektu poniechać, wobec notorycznych napadów bojówek neohitlerowskich na wszystkie zebrania poświęcone zagadnieniom pokojowym. Trudno było bowiem, w razie awantury, liczyć na jakąkolwiek pomoc policji.

Polska prasa codzienna podawała obszernie informacje o przebiegu obrad, ograniczę się więc do przypomnienia spraw najważniejszych.

Przede wszystkim skład delegacji z poszczególnych krajów. Wskazywał on, że w całej Europie zachodniej dokonują się zmiany w opinii publicznej analogiczne do tych, jakie miałem możność zaobserwować we Francji. Na sali spotkali się nie tylko przedstawiciele czternastu państw ale najrozmaitszych środowisk. Środowiska robotnicze były w wyraźnej mniejszości. Organizatorom chodziło zresztą o to, by uniknąć przekonywania przekonanych, a odwrotnie chcieli jak najgłębiej sięgnąć w szeregi wahających się. Dominowali chrześcijanie — katolicy i protestanci. Szczególnie liczni byli intelektualiści, księża, pisarze i działacze katoliccy z Niemiec, Belgii, Francji i Włoch. Zebraniom plenarnym dwukrotnie przewodniczyli księża: ks. prof. Dąbrowski i ks prof. Ude z Grazu.

W ostatnim dniu konferencji jeden z Niemców z Republiki Związkowej, stary liberał, powiedział mi: „bardzo ciekawa konferencja, ale dlaczego taka klerykalna“. Konferencja istotnie była „klerykalna“ ale miało to bardzo poważne uzasadnienie. Katolicy z Niemiec zachodnich przez swój przyjazd do Berlina protestowali przeciw szowinistycznej i wojennej polityce „katolickiego“ CDU Adenauera oraz przeciwko postawie pewnych kół kościelnych z Kolonii. Katolicy Belgii, Francji i Włoch czynnym udziałem w konferencji dali dowód swego poczucia odpowiedzialności za los pokoju w Europie. A mamy podstawy sądzić, szczególnie jeśli chodzi o katolików z Niemiec zachodnich, że ich przyjazd do Berlina wymagał dużej odwagi osobistej i nieoglądania się na konsekwencje.

W ostatnich latach widzieliśmy niejedno zebranie międzynarodowe o bardzo różnym składzie reprezentowanych poglądów. Tak szeroki jednak wachlarz środowisk i ludzi jak na konferencji berlińskiej zebrał się z pewnością po raz pierwszy. Wielkim zwycięstwem konferencji było to, że ludzie ci potrafili wspólnie rzeczowo dyskutować i dojść do wspólnych konkretnych wniosków wyrażonych w dwóch deklaracjach. Deklaracja delegatów niemieckich jest pierwszym wspólnym dokumentem politycznym podpisanym przez przedstawicieli obu części Niemiec. Rezolucja Konferencji poprzedzona długą dyskusją, precyzuje stanowisko wszystkich delegatów w sprawie podjęcia niezbędnych środków zmierzających do pokojowego rozwiązania sprawy Niemiec, a więc: anulowania układu ogólnego i paryskiego, utworzenia rządu ogólnoniemieckiego i zawarcia z Niemcami traktatu pokojowego.

Z punktu widzenia interesów polskich duże znaczenie ma fakt, że wszyscy uczestnicy konferencji stali na stanowisku układu poczdamskiego, który uznany został za prawny punkt wyjścia do rozważania dalszych dróg postępowania. Bardzo cenne było również spotkanie katolików polskich z katolikami z Niemiec zachodnich.

Nigdzie może tak ostro, jak w kuluarach opery berlińskiej, gdzie odbywała się konferencja nie uderzył mnie kontrast między dwoma światami ludzkimi. Między ludźmi dobrej woli, szukającymi każdy na swój sposób zapewnienia pokojowego współżycia między narodami i między ponurymi ludźmi złego wczoraj. Wszystkich delegatów, mimo wspomnianych różnic w poglądach, łączyło wzajemne zaufanie, wzajemna życzliwość i szczera chęć wspólnego rozwiązania problemów. Wokół nich krążyła chmura dziennikarzy zachodnio niemieckich. Ludzi pełnych nienawiści i pogardy. Czynili wszystko by zerwać konferencję. Wciągali między siebie delegatów francuskich, angielskich czy holenderskich, opowiadali im różne brednie, szerzyli plotki i fałszywe wiadomości itd. Słyszałem, co mówili o Polsce i Polakach, widziałem, z jaką nienawiścią patrzyli na nas. Jeden z delegatów niemieckich z Monachium pokazał mi ogromnego drab ze szramą na policzku mówiąc: „o widzi pan, ten człowiek w czasie wojny był reprezentantem NSDAP na Hiszpanię“. W tym momencie były delegat Hitlera odwrócił się i spojrzał na nas. Żałuję, że tego wzroku nie widzieli ci Polacy, którzy żywią jeszcze jakieś złudzenia co do intencji amerykańskich w stosunku do Polski. Ci wszyscy „dziennikarze“ to najwierniejsi ambasadorzy polityki Eisenhowera w Niemczech.

WNIOSKI

IMPERIALIZM amerykański w Europie stoi na glinianych nogach. Amerykanie tracą sympatię tych warstw, które liczyły na nich przed paroma laty. Wydaje się, że procesy te mają szybszy przebieg we Francji i we Włoszech niż w Niemczech zachodnich, gdzie potężny aparat państwowy i setki tysięcy działaczy hitlerowskich przygotowują nowy faszyzm.

Nie przypuszczam, by najmocniejsza nawet presja przyniosła jakiś poważniejszy sukces polityce amerykańskiej we Francji i we Włoszech. Nie chcąc stracić Europy Waszyngton tym więcej będzie stawiał na niemiecką kartę. Przeciwko Francji, przeciwko Europie, przeciwko pokojowi. Naród niemiecki będzie się dzielnie bronił, najbliższy jednak okres może być ciężki. Sądzę, że można się liczyć z bezpośrednim sojuszem wojskowym Waszyngton-Bonn ponad głowami Anglii, Francji i Włoch, których opór opóźnia postawienie armii europejskiej na nogi. Taki sojusz wywołałby oczywiście sprzeciw w całej Europie i w rezultacie przyśpieszyłby całkowitą izolację Ameryki. Chodzi o to, by przed tą izolacją uniemożliwić panom z Waszyngtonu i Bonn wywołanie wojny.

Z perspektywy obserwacji i wrażeń z Berlina i Paryża cztery rzeczy wydają mi się najistotniejsze.

Po pierwsze, sojusz polsko-radziecki, który zmienia naszą pozycję w świecie. Sojusz ten zmienia na naszą korzyść stosunek Polska — Niemiecka Republika Związkowa i Polska-Francja. Francuzi i Niemcy liczą się z nami tak, jak nie liczyli się nigdy dotąd.

Po drugie, istnienie NRD. Istnienie państwa niemieckiego, które wychowuje obywateli w duchu pokojowym, promieniuje na całe Niemcy i chroni nas od bezpośredniego kontaktu z odwetowym duchem Republiki Związkowej.

Po trzecie, znaczenie naszych osiągnięć społeczno-gospodarczych. Osiągnięcia nasze z rozmiarów których, patrząc na nie zbyt z bliska, nie zawsze zdajemy sobie w pełni sprawę, spowodowały olbrzymi wzrost autorytetu imienia polskiego zagranicą. Ciężka praca i troski dnia codziennego nie pozwalają nam czasem objąć całości dokonanego dzieła. Dopiero z zewnątrz widać, dobrze widzą je inni, widzą jak już dziś jest ono imponujące.

Po czwarte wreszcie, olbrzymie znaczenie jedności narodowej. Jedność tę musimy codziennie budować i wzmacniać. Patrząc z zewnątrz jeszcze jaśniej widać, jak jedność naszego narodu jest potrzebna, jak wzmacnia ona siły pokoju.

Dominik Horodyński

A P E L
OGŁOSZONY PRZEZ KATOLIKÓW BIORĄCYCH UDZIAŁ W KONFERENCJI BERLIŃSKIEJ

MY, katolicy, uczestniczący w Międzynarodowej Konferencji w sprawie pokojowego rozwiązania problemu Niemiec (Berlin, 8—10 listopad 1952) zwracamy się z braterskim wezwaniem do wszystkich katolików, by z całych sił przeciwstawiali się remilitaryzacji Niemiec, gdyż remilitaryzacja z konieczności doprowadzić musi do wzmożenia zbrojeń na całym świecie i do trzeciej wojny światowej.

Wobec tego wzywamy wszystkich katolików, by przy użyciu wszystkich legalnych środków nie dopuścili do ratyfikacji układu ogólnego między Republiką Związkową i państwami zachodnimi.

Wzywamy do szczególnie aktywnego udziału w wysiłkach zmierzających do pokojowego pogodzenia obu „Niemiec“ i obu części Europy i świata.

Prosimy wszystkie katolickie dzienniki i tygodniki o zamieszczenie powyższego apelu.

Apel ten podpisali obok działaczy katolickich z Francji, Belgii, Austrii, Włoch i Polski następujące osoby z Niemiec zachodnich: dr Fridrich Ferker — Pax Christi, ks. dziekan Joseph Emands, Egon Formanns — przewodniczący Pax Christi, dr Hans Texter, Hans Wirtz, dr Nikolaus Koch.

Stanisław KOLBUSZEWSKI

O „Fachowcu" Berenta

WACŁAW BERENT drukował swą pierwszą powieść, zatytułowaną „Fachowiec", w odcinkach „Gazety Polskiej". Ukazała się ona w wydaniu książkowym w 1895 roku, w tym samym, w którym Sienkiewicz ogłosił „Rodzinę Połanieckich". Zarówno 24-letni Berent jak i 49-letni Sienkiewicz dali artystyczną interpretację zagadnienia pasjonującego epokę pozytywizmu, zagadnienia pracy zawodowej i jej funkcji w życiu społecznym. Ale każdy z nich pokazywał różne aspekty tego samego problemu i odmiennie rozumiał powieść jako zjawisko artystyczne. Te różnice były znamienne nie tylko dla dwu indywidualności twórczych, ale także dla dwu generacji reprezentowanych przez każdego z pisarzy, co w tym wypadku faktycznie oznaczało różnice zachodzące w życiu i w kulturze dwu epok.

Stanisław Połaniecki należał do niewielkiej garści p o z y t y w n y c h bohaterów polskiej powieści epoki pozytywizmu, był w intencjach autora przedstawiony jako wzór człowieka, który nie dał się złamać złym warunkom, łamiącym prawie wszystkie wybitniejsze indywidualności w powieściach tego okresu — z Wokulskim, Madzią i Faraonem, z Martą, Moniką i Chamem na czele. Połaniecki wychodził zwycięsko z konfliktów nastręczonych przez życie. Najwidoczniej Sienkiewicz chciał pokazać w nim człowieka, który mimo rozmaitych potknięć i błędów wywiązywał się ze swych obowiązków zawodowych nie gorzej, niż bohaterowie „Trylogii", walcząc z wrogiem ojczyzny. I wydaje się, że Sienkiewicz tak, jak widział ideał cnoty rycerskiej w Skrzetuskim, Kmicicu, Wołodyjowskim, tak Połanieckiego pojmował jako swoisty wzór rycerza epoki perkalików i jako obrońcę „szlacheckiego gniazda".

A jak przedstawia się zagadnienie „Fachowca"?

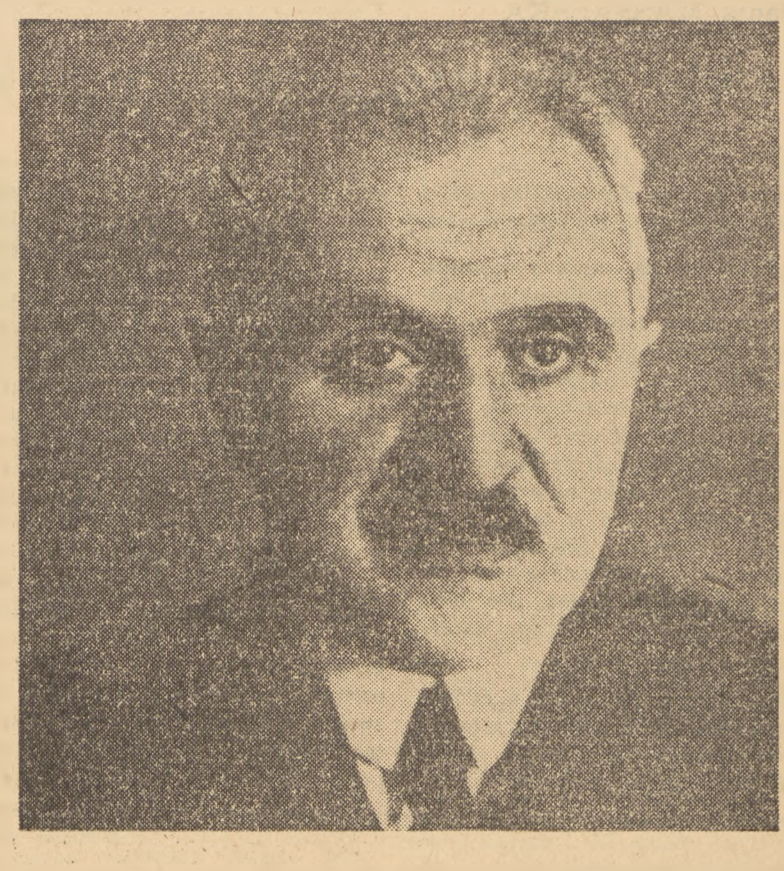
BOHATER tej powieści, Kazimierz Zaliwski, ukończywszy gimnazjum zamiast — jak jego koledzy — zapisać się na uniwersytet, zostaje robotnikiem fabrycznym; on, człowiek, który jeszcze nic o życiu nie wiedział poza tym, co mu o nim mówiły książki. Cóż go skłoniło do tego, ażeby stanąć do pracy w fabryce jako prosty robotnik i tam z dużym nakładem energii, zmagając się z kolosalnymi trudnościami i własną niezaradnością toczyć niezgrabne kule, a potem pasować się równie nieudolnie z bormaszyną? Pytamy w zdumieniu: jakiż był cel tego wszystkiego, jaki sens?

Wyświetlenie motywów decyzji Zaliwskiego i przedstawienie jego historii w fabryce daje Berentowi możność przeprowadzenia ostrej krytyki polskiego społeczeństwa. Zaliwski, urzeczony ideą służenia społeczeństwu, zmarnował życie i talent. Ale społeczeństwo — to nie abstrakcja; społeczeństwo — to przecież ludzie. Autor pokazuje przedstawicieli trzech klas: Zanicz, Helena i dziennikarze reprezentują inteligencję zawodową; Kwaśniewski, jego towarzysze i trzej właściciele fabryki są przedstawicielami przemysłu; Walicki, Andrzej i inni robotnicy, to reprezentanci polskiego środowiska robotniczego. Sposób ich pokazania definiuje zarówno każdą z tych klas, jak też oblicze ideologiczne samego autora. Otóż, w interpretacji Berenta, Zanicz to fanfaron, pozer, mistrz werbalizmu, komediant udający ideologa społecznego i rzecznika postępu; Helena to płytka i śmieszna „entuzjastka" pracy społecznej, to rezonans poglądów Zanicza, to ograniczona emancypantka w stylu karykatur pokazanych przez Prusa, typ młodej panny z przewróconą głową, strojącej się w modny kostium postępowości; szkicowo wreszcie pokazani dziennikarze reasumują w sobie ujemne rysy tamtych dwojga, a przewyższając ich cynizmem są zapowiedzią koncepcji Jelsky'ego — dziennikarza z „Próchna". To jedna grupa.

Z grupy drugiej wysuwa się na czoło Kwaśniewski, przedstawiciel polskiego kapitalizmu, sprytny akcjonariusz o pozornej dobroduszności szlagońskiej, robiący doskonałe interesy na haniebnie wyzyskiwanym proletariacie, a deklamujący z patosem wzniosłe słowa o „ciężko zapracowanym groszu naszego ludu", o „jego krwawym pocie i znoju". Drugim reprezentantem kapitalizmu jest spryciarz Majchert, fabrykant wyżymaczek, dostawca skór, właściciel tartaków, agent firmy berlińskiej, dyrektor lombardu akcyjnego, typowy kapitalistyczny „hochsztapler" Obok nich w migawkowych zdjęciach narysował Berent barowych towarzyszy Kwaśniewskiego, ludzi w jego stylu, oraz trzech właścicieli fabryki — Borwicza, Żyda Szwineigera i Francuza Lafère'a, spółkę demonstrującą związek polskiego kapitału z kapitałem obcym. To, że na usługach tej klasy są wszyscy i że ona bez skrupułów wszystkich wyzyskuje, ukazał Berent w kilku obrazkach umieszczonych w tekście głównym. Obrazek pierwszy: człowiek zdolny, zmuszony do zarabiania na życie niszczy energię i czas na uczenie dziecka bogacza Kwaśniewskiego, które jest uznane za „wyjątkowego osła" i leniucha, przed którym jednak, wskutek jego pochodzenia socjalnego, jest otwarta przyszłość, gdy tymczasem ludzi wartościowych warunki spychają stale w dół. Obrazek drugi: woźnica wprzągnięty w służbę dyrektora fabryki nie zawaha się obłożyć batogiem człowieka swojej klasy po to tylko, aby przypodobać się chlebodawcy. Obrazek trzeci: kelner wysługujący się burżuazji gotów jest wyrzucić za drzwi modnej kawiarni człowieka swojej klasy.

Powieść demaskowała oblicze polskiego kapitalizmu, który pchał inteligenta do fabryki opowiadając mu cuda o odrodzeniu gospodarczym kraju, a naprawdę chcąc w nim znaleźć tańszą siłę robocza od cudzoziemskiego „fachowca". Powieść demaskowała również postawę życiową polskiej inteligencji która uznawała za użyteczną tylko pracę rąk, lekceważąc pracę intelektualną. Ale powieść Berenta była przede wszystkim ostrą krytyką polskiego wiecznie romantycznego stosunku do życia. Ten chorobliwy entuzjazm, to stałe stosowanie błędnych kryteriów, to upajanie się wizją bohaterstwa i utopią potępił Berent bardzo ostro, kreśląc bolesną drogę Kazimierza Zaliwskiego. Drugą polską chorobą przedstawioną przez Prusa w postaci Geista a potem przez Żeromskiego w rojeniach o szklanych domach, Berent ukazał w osobie Walickiego, nie wyjaśniając do końca, czy był on maniakiem czy geniuszem. Polskie nierealne marzycielstwo potępił wreszcie słowami profesora Niemca o Polakach, którzy „idą dobrowolnie z uniwersytetów do fabryk, budują radiometry, zbawiają ludzkość... Marzyciele, wariaci..."

Krytykę społeczeństwa polskiego przeprowadził zatem autor na wielu odcinkach — dał analizę zakłamania, fałszowania rzeczywistości, jej marzycielskiej nadbudowy; dał krytykę polskiej lekkomyślności i lekceważenia nauki.



Wacław Berent

Na takim tle zajął się rozważaniami dziejów nowoczesnego, pozytywistycznego „Konrada".

POLSKI entuzjasta odrodzenia społeczeństwa przez pracę od podstaw poszedł do fabryki, aby nauczyć szacunku dla pracy fizycznej, aby czynem zademonstrować to, co dla innych było piękną teorią. Ale do tej pracy nie nadawał się — i dlatego stał się człowiekiem nikomu niepotrzebnym, tak jak, z innych zresztą powodów, inteligenci występujący w powieści rosyjskiej XIX wieku. Kazimierz Zaliwski to bodaj pierwszy w polskiej literaturze **liszny czeław'ek.** Berent przeciwstawiał się więc koncepcji takiego bezpłodnego bohaterstwa, jakie już w tym czasie apoteozował Żeromski. Złamany, nikomu niepotrzebny Zaliwski po niewczasie poznał swą tragiczną omyłkę: „kręcę dziury w żelazie, by mieć co jeść, jem, by móc je dalej kręcić". Stał się więc człowiekiem zdeklasowanym, odepchniętym przez swoje otoczenie, nie umiejącym wejść w nowe. robotnicze środowisko. Człowiek, który pragnął zbawić ludzkość i odrodzić społeczeństwo, przerodził się w zdeptanego przez życie nędzarza. W momencie poczucia swojej krzywdy nie zawaha się — bić. Tak zademonstrował Berent proces psychologiczny, który w symbolicznej formułce mógłby brzmieć: **obiit Conradus — natus est ...Belisarius.**

Obok nasuwającej się analogii postępku Zaliwskiego z postępkiem Cezara Baryki trzeba zdać sobie sprawę z zachodzących różnic: inspiratorem Baryki był żal rozwścieczonego kochanka, inspiratorem Zaliwskiego był prócz tego zawód o podłożu ideologicznym.

Bohater Berenta przypomina jeszcze inną postać Żeromskiego. Zaliwski, realizując pewne zasady ideowe, postąpił tak samo, jak postępować będzie niebawem doktór Judym. Oni obaj podjęli przecież pracę od podstaw, aby naprawić zło społeczne, obaj oddali się całkowicie w służbę idei, obaj chcieli być reformatorami. Ale dzieli ich zasadnicza różnica: Judym jest wykształconym w swoim zawodzie specjalistą i pracuje w swojej dziedzinie, Zaliwski zaś chce, żeby inteligent porzucił swój zawód, gdyż dopiero jako robotnik może służyć społeczeństwu. Takie właśnie jest założenie Zaliwskiego i tu tkwi źródło tragedii. Katastrofa Judyma spowodowana została wrogim nastawieniem dobrze opłacanych i majętnych lekarzy. Judym walczy od pierwszej chwili, nie łamie się, nie kapituluje, chociaż jego zamiary ponoszą klęskę. Tymczasem kapitalizm druzgocze Zaliwskiego a forma pracy społecznej, którą podjął okazuje się niewłaściwa. Żeromski drogę obraną przez Judyma apoteozuje, Berent potępia postępowanie Zaliwskiego. Berent ukazuje człowieka, który podjął niewłaściwą pracę na niewłaściwym posterunku, człowieka, dla którego praca stała się więc dantejskim piekłem. Tragedią tego idealisty była jego deklasacja społeczna, stał się jednym z takich „co dla mądrych za głupi, a dla głupich za mądry". Gdy więc bohaterowie Żeromskiego walczą wytrwale na swoim odcinku, to Zaliwski — złamany przez życie — kapituluje, a dobrowolna i entuzjastyczna służba idei staje się dlań niewolą i przekleństwem.

W powieści będącej ostrą krytyką stosunków społecznych w okresie triumfów kapitalizmu, Berent nie dostrzegł problemu robotniczego jako zjawiska społecznego. Dostrzegł za to i silnie uwypuklił solidarność świata robotniczego, przedstawioną tutaj kilkakrotnie z nietajoną sympatią. Uosobieniem jej jest postać Andrzeja, który jeden roztoczył opiekę społeczną nad maltretowanym przez życie Zaliwskim i w chwili dla Zaliwskiego najboleśniejszej, nie zawahał się pomścić zniewagi doznanej przez przyjaciela: uderzył dyrektora fabryki, choć świadom był, że czeka go za to więzienie.

Tłem dla indywidualnych przeżyć Kazimierza Zaliwskiego był fragmentaryczny szkic pracy w fabryce i szkice dwu przeciwstawionych sobie światów — wielkiego przemysłu i świata robotniczego. Berent bynajmniej nie idealizował robotników. Najwyraźniej dowodzi tego potraktowana naturalistycznie scena w szynkowni.

Nasunąć się zatem musi pytanie, cóż było przyczyną, że momentowi pijatyki i bójki w brudnym szynku poświęcił Berent tak nieproporcjonalnie dużo miejsca? Otóż nie może ulegać wątpliwości, że chciał przedstawić zjawisko typowe dla życia robotników. Robotnik z zarobionymi pieniędzmi szedł do szynku, ponieważ społeczeństwo nie troszczyło się o to, aby mu dać godziwą rozrywkę kulturalną. A zatem i ta scena książki była groźnym memento i ostrym oskarżeniem społeczeństwa.

W ten sposób swą pierwszą powieścią młody Wacław Berent zamknął jeden z etapów polskiego realizmu krytycznego, zapowiadając równocześnie początek nowej epoki w polskiej literaturze — epoki neoromantyzmu.

Janina NUCKOWSKA

KANON LIZYPA

Cały w białej urodzie odmierzanej palmą —
Odgięte dumnie ramię ciska szczątek: oszczep.
Pod stopami przeciwnik.
Świtanie ślepi oczy surmą powitalną —
Razi — i srebrem kropi pobliski oliwnik.
Wszystko jest najprostsze.
Ale gdyby był mniej doskonały w linii
I gdyby z głodu się ślinił
I pił czaj jak krew własną z żołnierskiej manierki
Czy nie ugiąłby się pod chłostą?
Takim posągiem być nie jest prosto.
Przeminął wiek „bohaterski".

Maciej Józef KONONOWICZ

*
* *

Tu nie było krzyża — lecz gwiazda
Zagasły w locie meteoryt —
A pod gwiazdą muszla żelazna:
Hełm, szumiący wiatrem znad Odry.

Wypalony w kamieniu napis:
„Piotr Siemionow z Władywostoku"...
Kawał drogi! Olbrzymie skrzydła
Musiał mieć ten radziecki sokół!

Dzielny sokół — serce szerokie.
Tu, pod gwiazdą, rzeźbioną wiatrem,
Śpi żołnierskim snem, przy okopie,
Otulony gliną i piachem...

— — — — —

Tu jest gwiazda — cisza i spokój.
Stań, przechodniu, i pochyl głowę
To, że Odra szumi po polsku:
Przecież za to Siemionow poległ

Jolanta MASSALSKA

O moralność małżeństw nowoczesnych

Artykuł dr med. Jolanty Massalskiej stanowi fragment większej całości.

PRZED każdą parą wstępującą w związki małżeńskie niedmiennie staje pytanie, co w dziedzinie stosunków między mężczyzną i kobietą oraz w życiu rodzinnym jest prawdziwie moralne, a co nie jest. Jakie jest prawdziwe i najgłębsze przeznaczenie instynktu rozrodczego, który jako naturalny, nie może być złym sam w sobie, gdyż Stwórcą natury jest Bóg dobry i miłosierny — a tylko wola ludzka, powstająca przeciw Niemu, aby sobie samej służyć, jest w stanie naturę poniżyć i zniekształcić.

Otóż instynkt seksualny u człowieka ma dwa zadania. Pierwsze to zapewnienie ciągłości gatunku „homo sapiens" — analogicznie jak u zwierząt. I to zadanie, o ile ma być spełnione zdrowo i moralnie musi odbywać się zgodnie z naturą, w sposób ściśle zdrowy i normalny, gdyż na wynaturzonym i niezdrowym podłożu nic zdrowego i pięknego nie może wykwitnąć. A tymczasem właśnie u człowieka „wykwitać" musi drugie zadanie instynktu rozrodczego — zadanie już specyficznie ludzkie, właściwe tylko człowiekowi, istocie dwoistej, złożonej nie tylko z ciała jak zwierzę, ale również i z duszy. Otóż to drugie zadanie, to *służenie miłości.*

Z biegiem życia rozwija się w człowieku coraz potężniej życie psychiczne — i jeśli ma się rozwijać istotnie prawidłowo i zgodnie z wolą Boską, powinno opanowywać instynkty w ten sposób, aby służyły duszy ludzkiej tak, jak np. mądrze zbudowana zapora wodna służy sieci elektryfikacyjnej kraju. I w tym świetle łatwo zrozumieć, na czym polega „grzech nieczystości", tak źle często rozumiany. Polega on na wyżywaniu instynktu seksualnego *poza* miłością, wyłącznie dla własnej egoistycznej przyjemności. Jeśli używamy go w służbie miłości, zgodnie z wolą Bożą, spełnia on wtedy rolę mądrze skierowanej energii przyrody, zużytkowanej w celu wzbogacenia psychicznej zdolności kochania, najważniejszej z umiejętności, jakie posiąść musimy. Tak — gdyż *„trzy są cnoty wielkie — wiara, nadzieja i miłość — a z tych największa jest miłość"*, i — *„będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkich sił twoich a bliźniego twego, jak siebie samego"*.

A czemu dane są te przykazania? Czemu tak wielką jest cnota miłości? Czy myślimy czasem o życiu wiecznym? A może się nam zdaje, że „nudno" będzie w niebie? Że będziemy przez całą wieczność śpiewać ubrani w białe szaty — jak często myśli dziecko, nie rozumiejąc, co to za szczęście może się kryć w takiej wieczności i nie bardzo pragnąc się o nie ubiegać? A tymczasem, to *Miłość* jest tajemnicą szczęścia nieustającego Boga — i w tej Miłości właśnie mamy uczestniczyć kochając. Weźmy wszystkie najintensywniejsze i najszlachetniejsze uniesienia miłości, podnieśmy je w myśli do nieskończonej potęgi bogactwa i intensywności — a będziemy mieli słabe, ale prawdziwe wyobrażenie o szczęściu wiecznym. A jakżeż można cieszyć się miłością, skoro się kochać nie umie? Dlatego też niebo nie może być udziałem niekochających, bo nie będą umieli się nim cieszyć.

Człowiek, który nie ujarzmi energii swego instynktu rozrodczego, zużywając ją przez to jak paliwo, rozpalające w nim duchową energię miłości, postąpi jak pilot, który zmarnuje benzynę, potrzebną do lotu przez morze — nie doleci, utonie. I „utonie" na całą wieczność — czyż myślimy kiedykolwiek nad straszliwą nieodwołalnością wieczności? Czy myślimy, jak ważną, *najważniejszą* jest praca nad tym, aby ten nieodwołalny wyrok mógł napełnić nas cudownym uczuciem nieodwołalności naszego szczęścia?

Dlatego też rozpocząć musimy „równanie w górę". Cieszmy się z tego, że znikło zakłamanie w dziedzinie seksualnej, ale nie obnaszajmy brudów, tylko postarajmy się stworzyć typ człowieka *czystego. Czystego* mężczyzny i *czystej* kobiety, żyjących ze sobą zgodnie z naturą, w głębokiej, świadomej miłości do siebie nawzajem i pełnych szacunku i tkliwości dla swych przyszłych dzieci. A jeśli się postawi wysoko ideał miłości i pokaże się go młodzieży w prawdziwym świetle, stworzy się w samej głębi duszy właściwe podłoże pod dobrze zrozumianą cnotę czystości — która polega przecież na właściwym skierowaniu energii instynktu, a nie na jej wykorzenieniu.

Jakże niedorzeczne jest mniemanie, z jakim często można się spotkać wśród ludzi, traktujących te sprawy powierzchownie — mniemanie, że święci nie mieli „temperamentu" i wobec tego nie byli narażeni na pokusy w dziedzinie seksualnej. Właśnie święci mieli temperament większy, niż przeciętnie, bo potężna miłość zakłada istnienie wielkiej ilości „paliwa" instynktu, który jej pomógł się rozżarzyć — ale potrafili wyrobić w sobie cnotę czystości, czyli wprzac swój instynkt w służbę swej woli, a wolę swoją podporządkować Bogu. Nie wolno też rzec sobie — oni mogli, bo byli święci, ale ja jestem zwykłym człowiekiem, więc nie mogę. Nikt nie rodzi się świętym — i każdy ma obie możliwości być świętym, tak samo jak i miernym, czy potępionym. Oczywiście każdy jest inny, i są ludzie „mniejsi" i „więksi", ale każdy może i powinien osiągać to, do czego go Bóg w jego zakresie możliwości przeznaczył — a nikogo nie przeznaczył przecież do grzechu, tylko do cnoty. A zatem każdy, o ile kocha wolę Bożą i pragnie ją czynić, może wyrobić w sobie każdą cnotę, a więc i cnotę czystości.

Różne są stopnie tej cnoty — i ideał dziewictwa nie jest dla wszystkich. Nie będziemy też mówić o nim obecnie. Przedmiotem naszych rozważań będzie zdrowe życie małżeńskie i rodzinne, stanowiące ten stopień cnoty czystości, którego Bóg wymaga od każdego, a którego złamanie musi pociągnąć za sobą zakłócenie równowagi moralnej człowieka i w konsekwencji ściągnąć na niego nieszczęście. Nieszczęście, które nigdy nie jest „wolą Bożą", ale wskaźnikiem, że człowiek się tej woli przeciwstawił.

A zatem — stosunki pozamałżeńskie zawsze są złe, gdyż dowodzą braku troski mężczyzny o kobietę i ewentualne potomstwo — co wyklucza prawdziwą miłość. Kochający i roztropny mężczyzna musi się zdobyć na tyle opanowania, aby podporządkować wymagania swego instynktu odpowiedniemu zabezpieczeniu kobiety przed konsekwencjami współżycia. Kobieta też powinna myśleć o tym, że narażając się na macierzyństwo musi zapewnić odpowiednie warunki swemu dziecku, dla którego najważniejszą podstawą normalnego życia jest dom rodzinny, w którym miałoby kochających rodziców — dobrego ojca i dobrą matkę. A czyż mogą być dobrymi rodzicami ludzie, którzy nie myślą o niczym więcej, tylko o własnej przyjemności seksualnej? Dla takich ludzi dziecko będzie tylko niepotrzebnym ciężarem. Dodajmy też pytanie, czy można sobie wyobrazić smutniejszy los, jak los tych, którym od urodzenia odmówiono miłości? Niewiele komfortu materialnego trzeba dziecku — byle miało kąt do spokojnego snu, proste i zdrowe pożywienie i konieczne minimum odzieży, to mu wystarczy. Nie trzeba osobnego „pokoju dziecinnego", strojnej „wyprawki", przysmaków i masy zabawek — zbyt dobre warunki często w konsekwencji stają się złe, wychowując rozpieszczonych ludzi, nie umiejących żyć, jak człowiek. Ale miłości trzeba *koniecznie*, bez niej dusza ludzka żyć nie może.

W małżeństwie też nie wszystko jest dozwolone. Obowiązuje ta sama zasada, którą podano na początku — instynkt seksualny ma służyć miłości, a nie być celem sam w sobie. Zatem i w małżeństwie stosunek małżeński moralny jest tylko wtedy, jeśli jest pieszczotą miłosną, a nie prostym wyładowaniem własnej namiętności, bez troski o stronę drugą. A jeśli ma być pieszczotą miłosną, to musi być ludzki — pełen wzajemnej delikatności i delikatnej wstydliwości — której nie należy identyfikować z pruderią, tak modną w ubiegłym stuleciu, gdzie żona nie mogła zdjąć koszulki w obecności męża, a każda bardziej namiętna pieszczota nazywała się nieskromną. Nie namiętność, płynąca z uniesień miłości jest nieskromna — ale brutalność, z jaką współczesne małżeństwa bez żadnego skrępowania stosują sztuczne środki antykoncepcyjne, podkreślając przez to, że nie chcą dziecka, mogącego być owocem ich „miłości". Wzięto tu słowo „miłość" w cudzysłów, gdyż prawdziwa miłość małżeńska zawiera w sobie też miłość do przyszłego dziecka — dziecka miłości, w którym będzie „coś" z ukochanego, w którym będzie niejako ucieleśnione połączenie się tych, co się kochają. Dlatego też kochające się prawdziwie małżeństwo pragnie mieć dzieci i ma je z reguły, a jeśli musi, z poważnych powodów ograniczyć ich liczbę, nie czyni tego w sposób brutalny i nienaturalny, a po prostu wstrzymuje się od pożycia małżeńskiego, aby nie narazić się na niepożądane poczęcie.

Nie sądzimy, że taka wstrzemięźliwość jest bohaterstwem, nie do wykonania. Teraz, kiedy znamy już na tyle fizjologię kobiety, że możemy oznaczyć okresy jej fizjologicznej bezpłodności, okresy wstrzemięźliwości nie muszą być zbyt długie. A miłość wzajemna małżonków na tym zyskuje. Wszystko, co zbyt łatwe narażone jest na spowszednienie — a zbliżenie fizyczne, które jest okresowo zabronione, nabiera po przerwie nowego uroku. Sama przerwa natomiast, zmuszając do ograniczenia wyżycia się popędu płciowego na drodze bezpośredniej, kierując jego ener

(Dokończenie na str. 11)

Sławomir BŁAUT

NA MARGINESIE HISTORII

JEST rok 1945. Pierwsze dni po wojnie. Bardzo ciekawe czasy. Jakież kryje się w nich bogactwo wydarzeń, ileż tam życiowych konfliktów i powikłań. W te niezbyt odległe, ale jakże już dalekie lata, które zwolna pokrywa pył zapomnienia, zapuszczało się wielu pisarzy, za daremnie szukającym powrotu Maciejem Chełmickim poszedł tam Jerzy Andrzejewski, śladem błąkającego się Tola Szarleja powędrował Kazimierz Brandys. Plonem tych odysowych wypraw, tego uciążliwego wczytywania się w poplątane meandry ludzkich dróg, był obraz tamtych czasów, nabrzmiały od problemów, pełen moralnej pasji pisarskiej, tchnący prawdą tamtych dni. Oczywiście, żadna z tych książek nie może objąć całego splotu nurtujących ówczesne życie zagadnień. Możliwie pełny pogląd otrzymamy dopiero przez zestawienie wszystkich tych dzieł.

Czy książka Mariana Ruth-Buczkowskiego,*) z którą raz jeszcze mamy odbyć wędrówkę przez pierwsze dni powojenne, wzbogaca na jakimś, chociażby wąskim odcinku, naszą wiedzę o ówczesnej rzeczywistości, czy wybranym fragmentem życia staje obok książek wymienionych pisarzy, czy jest drobnym może, lecz cennym kamyczkiem dorzuconym do wielobarwnej mozaiki, którą tworzą dzieła dające świadectwo tamtym czasom? Nie, na wszystkie te pytania pada odpowiedź przecząca.

„Pierwsze dni" sklejone są z trzech warstw, które ukazują trzy różne oblicza tego samego pisarza. Nie są one mocno z sobą związane, więc budowa opowiadania jest luźna.

Warstwa zasadnicza to reportażowo - kronikarski zrąb obejmujący dzieje jednego „rejsu" pociągu na trasie Warszawa — Wrocław. Na niej narosły warstwy pozostałe. Buczkowski zajmuje postawę biernego obserwatora, kreśląc z upodobaniem i przyznajmy to — z powodzeniem, miniaturowe portreciki, niewielkie obrazki satyryczne, drobne scenki rodzajowe (np. popisy pogromcy z cyrku Staniewskich, gra w karty czy picie bimbru). Wiernie oddaje atmosferę podróży i nastroje pasażerów. Rzuca na jakąś postać czy wydarzenie snop światła, przybliża je na moment do naszych oczu i odrzuca z powrotem w ciemność. Tak naszkicowane postacie są żywe i wyraziste, gorzej natomiast jest z grupą bohaterów z ekipy konduktorskiej, których sylwetki przewijają się przez całe opowiadanie.

Postać Wiali wypełnia pasjonująca go żyłka detektywistyczna, Kubiaka — niepohamowana skłonność do napojów wyskokowych, Hamerliński wreszcie to dobroduszny i stary kolejarz mocno przywiązany do swej pracy.

Jedyną postacią, która się zmienia jest Chmielarski. Przemiana tego zasklepionego w systemie przepisów i instrukcji służbisty i biurokraty dokonuje się ad hoc, na skutek przypadkowej agitacji na przygodnym postoju. W ten sposób mamy właściwie dwu Chmielarskich: „stary" został w Ostrowie, a nowy jedzie dalej, bo całego procesu tych wewnętrznych przeobrażeń autor przezornie nie pokazał. Pociąg nasz wiezie kilku warszawskich tramwajarzy, którzy mają rewindykować z Wrocławia odnalezione tam stołeczne tramwaje, jedzie nim grupa robotników, mających uruchomić wrocławski PaFaWag, jadą na Ziemie Odzyskane chłopi-osadnicy, jedzie tam lekarz, nauczyciel i oczywiście wielu szabrowników i kombinatorów.

W tym wszystkim tkwią zarodki konfliktów, przez które mogłoby wyjrzeć oblicze współczesności. Buczkowski spraw tych dotyka bardzo lekko i ostrożnie, cofając szybko palce, by się przypadkiem nie sparzyły. Życie ze swymi problemami przepływa obok pisarza, który zdołał uchwycić tylko jego margines, łudzący zapachem egzotyki i sensacji. Autor nie ukazuje powiązań między wydarzeniami, przez sprawy drobne, codzienne, nie ukazuje perspektyw spraw wielkich, lecz zamyka się w ciasnych ramach kamryśnego opisu. Nie potrafi wznieść się ponad jednostkowe fakty, stąd ograniczoność widzenia, brak szerszych horyzontów, spotęgowany ubóstwem treści intelektualnych, co uderza tym bardziej, że dzieli nas od tamtych chwil dystans dobrych kilku lat, pozwalający na uchwycenie tego świata we właściwych mu proporcjach.

Mały realizm „Pierwszych dni", poparty oderwaniem od momentu dziejowego i wspomnianą już bezkonfliktowością, niesie jeden jeszcze bardzo poważny brak, brak problemów. A pisarz, który ich we współczesności nie dostrzega, będzie mało ma do powiedzenia. W całości utworu warstwa ta jest jednak najlepsza i najciekawsza, choć można ją traktować jedynie jako próbę zebrania materiału obserwacyjnego.

Akcja omówionego rdzenia konstrukcyjnego „Pierwszych dni" jest bardzo nikła, a raczej wcale jej nie ma, jest tylko ciąg luźnych obrazów. By je mocniej ze sobą związać, by nadać utworowi więcej zwartości i dynamiki, wkomponowany został wątek detektywistyczny, stanowiący drugą warstwę opowiadania. Zamierzony cel osiąga Buczkowski tylko połowicznie, bo wysunięcie na czoło wątka o charakterze sensacyjnym przynosi odwrócenie hierarchii ważności, zamazując i tak bardzo już niewyraźne zarysy rzeczywistości. Autor nie umie wydobyć z tego tematu napięcia, które konieczne jest do podtrzymania jego atrakcyjności, przez co cały czar sensacji pryska. Wiala traktuje tropienie niemieckiego zbrodniarza jako nieco ryzykancki sport, nie angażując się w tę sprawę wewnętrznie, a że jest niezwykle przenikliwy i spostrzegawczy, złoczyńcy zaś są dziecięco naiwni, więc polując na jednego łapie dwóch, co zresztą w świat utworu nie wnosi żadnych zmian, poza tym, że na tym się wątek urywa i przyspiesza koniec opowieści.

Inna sprawa, że intuicja Wiali, która decyduje o ujęciu obu rzezimieszków, budzi poważne wątpliwości nie tylko u zakamieniałych sceptyków. Komentarz chodzący na własnych nogach stanowi poważną wadę niektórych utworów współczesnych. W „Pierwszych dniach" ten komentarz — trzecia wyróżniona przez nas warstwa opowiadania — jest wyjątkowo aktywny, chadza nie tylko o własnych siłach, ale i własnymi drogami, nie zważając na to, że nie stanowi przecież odrębnej całości, lecz ma być tylko częścią większej konstrukcji artystycznej. Samodzielność komentarza, bardzo niewiele zresztą wyjaśniającego, wsparta jest jeszcze niechlujnym językiem, zanieczyszczonym wytartymi frazesami i karkołomnymi konstrukcjami składniowymi. Komentarz ma zastąpić brakujące tło, ma dać podbudowę opisywanym wydarzeniom, słowem ma zastąpić to, czego autor nie potrafił wyrazić artystycznie. Nie trzeba chyba dodawać, że posunięcie to trudno ocenić pozytywnie.

Wspomniane błędy książki Buczkowskiego, beztrosko wymijającej problemy, wskazują na brak należytej kontroli zarówno autorskiej, jak i redakcyjnej.

Sławomir Błaut

*) Marian Ruth-Buczkowski „Pierwsze dni" PIW 1951, red. Halina Szymańska, str. 149 — 3 nlb.

Wanda WEJTKO

Wśród ludzi

Piękne jest słowo poety
i długotrwałe jak bursztyn.
Nie raz pogrąży się w falach,
lecz wieki trwać będzie na dnie.

Choć gasną gwiazdy, planety,
mijają zbrodnie i uczty —
pieśń się na wichrze nie spala,
jej sądy — sądy ostatnie.

TAKĄ oto romantyczną, ambitną apostrofą otwiera Tadeusz Kubiak swój ostatni tomik wierszy „Wśród ludzi"*). Już z samego tytułu tego tomu, jak również z tytułu jednego ze zbiorów poprzednich: „Człowiek jest blisko" czytelnik bez trudu odgadnie, z jakiego punktu widzenia będzie wypowiadała swoje sądy o świecie pieśń Kubiaka: jest on przede wszystkim poetą-humanistą.

Humanizm Kubiaka w ciągu tych kilku lat, na przestrzeni których obserwować możemy jego rozwój przybiera coraz dojrzalsze formy, coraz wyraźniej się krystalizuje i stapia z tym, co jest w naszej dzisiejszej rzeczywistości najważniejsze — z walką o pokój i socjalizm.

W pierwszych tomikach „Słowo pod żaglem" i „Człowiek jest blisko" motywem naczelnym utworów są lata okupacji, protest młodego poety przeciwko nieludzkim okrucieństwom faszyzmu i wojny. W „Słowie pod żaglem" jednak, sprawy tak proste, bolesne i ludzkie jak cierpienie i śmierć człowieka oddalone są od czytelnika przez nawarstwienie skomplikowanej metaforyki np. w udanym zresztą wierszu „Małgorzatka". Sięgający po ziomu ostatnich utworów niewielki wiersz „Do ojca" urzeka prostotą i siłą ekspresji. Fragmentów jego nie można wprost nie przytoczyć.

Wybacz ojcze, nie byłem więźniem
Słuchałem wiatru wśród gałęzi...

...Nie obuli stóp moich w drewno,
które nazwę nosiło rzewną...

...Błądząc po śmierci i ogrodach
gdybym znalazł męczeński chodnik,

o martwym słoju, włóknie uschłym
w nim wyżłobione ślady stóp twych

Znalazłbym więcej niźli ciało
co się bezkształtnym prochem stało...

Wiele ciekawych, oryginalnych utworów czytamy w tomiku „Człowiek jest blisko". Obrazy martyrologii okupacyjnej osiągają tu wyraz i głębię bliską niemal „Medalionom" Nałkowskiej. Wiersze takie, jak wstrząsający tragedią bezrękiego bohatera „Monolog na festynie", „Dziewczyna z jagnięciem", „Nowa romantyczność" czy „Martwa natura" świadczą o tym, że poeta jeszcze wówczas bardzo młody potrafił znaleźć oryginalne, sobie tylko właściwe środki wyrazu. Kilka jednak wierszy („Firma Odeon", „Ogólnopolski konkurs fryzjerski") razi sztucznością, w której zatraca się ich właściwa ludzka treść.

Wiele miejsca we wczesnej twórczości Kubiaka zajmują utwory mówiące o odbudowie, o ludziach tworzących nowe jutro. „Prosty wiersz o poległych" i „Ballada o moście Poniatowskiego" tchną entuzjazmem przyszłej pracy. Utworem całkowicie poświęconym nowej, budującej się Warszawie jest „Rzecz o trasie W—Z". Owo „połączenie stron świata, przed którym milknie prawo noża" ukazuje poeta widziane oczyma członków wycieczki zagranicznej oglądających gipsową makietę trasy w Pałacu pod Blachą, za którego oknami wre praca budowy.

Powróćmy jednak do ostatniego tomiku. Odwołamy się znowu do wymowy tytułów — człowiek był blisko Kubiaka cztery lata temu, dziś Kubiak znalazł się już wśród ludzi. Znajdzie tu czytelnik widziane oczyma poety „sprawy ludzkie" — wielkie zagadnienia ogólnoświatowej skali i drobne przeżycia osobiste jednostki, jakże ściśle z tamtymi — wielkimi związane.

*) Tadeusz Kubiak — Wśród ludzi. Warszawa 1952, Czytelnik s. 131.

Poeto — twoja miłość do dwojga
najbliższych,
do domu — nie jest jeszcze miłością
do świata.

Tak pisze Kubiak w wierszu „Rozmowa z poetą" (podobną myśl znajdujemy w utworze „Doktór, ogrodniczka i poeta" z tomu „Ballady i pieśni"), lecz miłość do świata przejawia się również w uczuciu, jakim darzy swoich najbliższych.

W tomiku przeważają liryki osobiste. Opowiada w nich poeta o swoim codziennym życiu, o żonie i małej córeczce. Cechą tych wierszy i największym ich walorem jest duża bezpośredniość, szczerość uczucia wyrażonego w bogatej, chociaż prostej formie poetyckiej. Do najbardziej udanych należy „Piosenka codzienna", „Kołysanka grudniowa" i „Kołysanka śpiewana w burzliwą noc". Interesującym utworem jest „Pewnej nocy w sześć lat po wojnie"; setkom okrutnych zgonów ludzkich w czasie wojny przeciwstawia w nim poeta spokojną śmierć starego psa. „Opowieści nocy grudniowej", to trzy krótkie obrazki pokazujące jak spędzała Boże Narodzenie samotna matka, której dzieci poszły do lasu bić się o wolność, jak spędza je dziś w Polsce szczęśliwa rodzina w atmosferze nasyconej spokojem i kolędą, jak wreszcie w mieście na drugiej półkuli dziewczynka z zapałkami, „jak za czasów Andersena" ginie, lecz nie od mrozu, a od kuli tylko za to, że jest Murzynką.

W tej części tomu czytamy również kilka wierszy „krajobrazowych". „W górach" i „Trzy listy z Nieborowa" malują przed oczyma czytelnika obrazy plastyczne i żywe, pozwalają mu oddychać czystym, górskim powietrzem, oglądać staw i samotne, smutne drzewo w nieborowskim parku. Efekty te osiąga poeta środkami prostymi: przez dyskretne zaakcentowanie swojego stanu psychicznego, zajęcie „immanentnego" stanowiska w stosunku do przyrody.

Jeśli już mowa o „formie" warto zająć się rytmiką wspomnianych tu wierszy. Kubiak porusza się w tej strefie z dość dużą swobodą. Używa z dużym powodzeniem wiersza nieregularnego, pisze strofą dwu, trzy i czterowierszową. Naprawdę ładny jest wiersz o schemacie ABC DEC:

Skąd w sercu młodym,
twardym jak dukat —
szczeliny?

Biły weń wody,
żarła posucha
złe zimy.

Często spotykamy motywy oparte na wzorach ludowych. Do nich należą powtórzenia w strofie:

Oj, dobre świerszcze,
świerszcze kochane,
jak srebrne deszcze
niespodziewane.

— do nich wyliczenia i refren „Kołysanki grudniowej":

Po to są drzewa wysokie i niskie,
byś ty z nich miała kołyskę.

Po to dzień zdziera granat nocy
z jaskrów,
byś ty kołysała się w blasku.

— — — — — — — — — —

Oj, tak — kwiecie przebiśniegu.

Na wzór symbolicznej baśni ludowej stylizowany jest wiersz „Pora deszczowa w pewnym miasteczku".

WŚRÓD pozostałych utworów w tym tomie na szczególną uwagę zasługują wiersze o treści ogólnej, filozoficznej. Pełen słusznego optymizmu „Wiek XX", wspomniana już „Rozmowa z poetą", w której precyzuje Kubiak swój pogląd na stanowisko współczesnego twórcy wobec zjawisk rzeczywistości:

...ty musisz iść w pierwszej linii,
prowadzić atak,
Za każdy na tej ziemi dom.

świadczą jak dojrzała postawa ideowa autora. O wielu głębokich przemyśleniach mówi wiersz „Nie utraciłem jej nigdy". „Jej" — to znaczy ojczyzny, która przetrwała w sercu poety i w sercach jego rodaków najcięższe dni klęsk.

Człowiek zmienia przyrodę.
Piękno zmienia człowieka.

Z punktu widzenia działania — piękna ujmuje Kubiak kwestię zmian jakie zaszły w psychice nowego człowieka. Upowszechnienie czytelnictwa, książka — słowo poety w rękach wszystkich ludzi, to temat wyraźnie go pasjonujący. W wierszu „O starym góralu, zetempowcu i wierszach" widzimy radość byłego analfabety, który teraz chłonie wprost poezje Mickiewicza; „Na odludziu niedawnym" — jako wspomnienia lat odległych czyta dziewczyna fragmenty „Janka Muzykanta". „Mickiewicz warszawski", „Wieczór w Warszawie" przepojone atmosferą doznań własnych poety a takie są właściwie wszystkie utwory Kubiaka, mówią o tych samych sprawach.

Na osobne omówienie zasługuje „Pieśń o węglu". Jest to w liryczno-epicką formę ujęta historia polskiego zagłębia, dzieje walki górników przeciwko okrutnemu wyzyskowi węglowych baronów. Poemat składa się z jedenastu części, kilka z nich napisane w formie pieśni poważnych i twardych, zwiększa siłę oddziaływania utworu przez zbliżenie do czytelnika.

Dotychczas zajmowałam się tym, co jest w tomiku Kubiaka dobre. Takie utwory stanowią zresztą zdecydowaną większość. Jest jednak kilka wierszy zupełnie słabych. Do nich należy przede wszystkim „Noc w drukarni", gdzie razi dosłownie wszystko począwszy od „katarynkowatego" rytmu, poprzez dziwne dość skojarzenia czcionki cicero ze starożytnym mówcą: „Hej, Cycero!" (dlaczego przez „y" i w dodatku jeszcze „hej" — nie rozumiem), do rymów gramatycznych „faszystów", „komunistów" i podobnych. „O matce polskiej", to już zbanalizowana stylizacja kobiety polskiej na jakąś uwspółcześnioną Niobe. Niepotrzebny jest chyba wiersz „Warszawie".

JEDNĄ jeszcze charakterystyczną cechą wierszy Kubiaka jest ich związek z tradycją poetycką, przede wszystkim romantyczną. Reminiscencje „lekturowe" spotykamy dość często w jego poprzednich utworach, nigdzie jednak nie występowały one tak wyraźnie, w postaci wpływów frazeologicznych, jak w wierszach „Mickiewicz warszawski", czy „Moje najbliższe". W tym ostatnim organicznie związane z całością utworu. Jednakże mickiewiczowskie zwroty w innych utworach, gdzie nie są one artystycznie uzasadnione, wydawać się mogą zapowiedzią niebezpiecznej dla poety maniery.

Zamykając po przeczytaniu tomik „Wśród ludzi" czytelnik czuje się związany z poetą, który siłą lirycznego nastroju i artystycznego wyrazu każe mu razem z sobą kochać świat, pragnąc powszechnego szczęścia... śpiewać „Codzienną piosenkę":

Pokój grającym na skrzypcach
i łatającym gdzieś buty.
Pokój piecom hutniczym.
Pokój wesołym i smutnym.

Wanda Wejtko

Mikołaj BIESZCZADOWSKI

Nikt nikomu nie jest obcy



Maria Dąbrowska

ZWYKLE bywa tak, że dzieło pisarza znajduje oddźwięk tylko u niektórych z czytających — u tych mianowicie, którym ono szczególnie odpowiada — ale do zdarzeń niezmiernej rzadkości należy, aby poruszyło ono wszystkich, dla każdego stanowiąc wartość najbliższą i jedyną.

Tak się ma rzecz tylko z dziełami klasyków albo z tymi, które osięgnęły wielką pełnię artyzmu i w ten sposób zawarły w sobie takie bogactwo treści i piękna, że każdy może z nich czerpać obficie. W literaturze polskiej ostatniego ćwierćwiecza, twórczością, która doszła do takiego właśnie poziomu i którą tak właśnie należy ocenić jest niewątpliwie twórczość Marii Dąbrowskiej.

Ilościowo jej dzieło nie jest rozległe. Obejmuje parę tomów nowel, tom rozważań społeczno-politycznych, wielką powieść cykliczną i dwa utwory sceniczne. To nie jest może wiele, jeśli się zważy, że powstawało w ciągu czterdziestu lat, ale wartości dzieła nie mierzy się ich ilością i właśnie poniedziałkowy jubileusz zadokumentował dobitnie, na czym ta wartość polega i jak została przyjęta przez społeczeństwo.

Maria Dąbrowska debiutowała przed czterdziestu laty, rzecz szczególna nie jako pisarka, ale jako działacz społeczny, wydając rozprawki o ruchach spółdzielczych w Belgii i Finlandii. Później dopiero zjawiały się kolejno jej nowele: „Uśmiech dzieciństwa", potem „Ludzie stamtąd", tom rozważań społecznych „Rozdroże" i wreszcie „Noce i dnie", szczytowe osiągnięcie prozy nie tylko w dorobku Dąbrowskiej, ale i współczesnej literatury polskiej. Następny tom nowel „Znaki życia" ukazał się już później. Po wojnie wydano dramat o Bolesławie Śmiałym „Stanisław i Bogumił". Przygotowany jest do druku nowy tom nowel i wiadomo, że pisarka pracuje nad dłuższą powieścią współczesną.

Większość swych książek pisała Dąbrowska w okresie dwudziestolecia międzywojennego, w tym więc okresie bardzo dla naszej kultury a także dla kultury świata niepokojącym, pełnym sprzecznych tendencji, dziwactw i błądzeń. Jej sztuka pojawiła się wówczas jakby coś ożywczego, jakby przywołanie do porządku. Nawiązując najściślej do wielkich tradycji polskiej prozy, do dzieł okresu pozytywizmu, umiała Dąbrowska przywrócić wówczas godność powieści zdziwaczałej i zdegradowanej przez eksperymentatorów. Tworząc dzieło głęboko epickie i tworząc je tak doskonale, udowodniła, że wielka i poważna twórczość powieściowa jest możliwa i jest potrzebna, byleby znalazł się ktoś gotów podjęcia realizacji takiego zamierzenia.

Jeśliby przyjąć za kryterium ocenę jaką wypowiadają o jej książkach zwykli odbiorcy drukowanego słowa, przeciętni czytelnicy — zdumielibyśmy się stwierdzając, jak bardzo są one przez nich podziwiane, przekładane nad inne i kochane. Z książek Dąbrowskiej bowiem promienieje potężna zniewalająca miłość do ludzi, zrozumienie ich praw, chęć wyjaśnienia ich życia takim, jakie ono jest naprawdę, życia ludzi prostych nie herosów. Wszystko, co napisała cechuje ta właśnie rzetelność, głęboko uczciwy stosunek do poznawanych zjawisk; surowa odpowiedzialność za to, co się mówi i dla czego się to powiada, te cechy właśnie sprawiły, że jej książki działały i nadal działają jak ożywczy strumień, afirmując wartość życia i zachęcając do borykania się z nim.

Krytycy wielokrotnie potwierdzili i wyświetlili ogromne wartości artyzmu jej utworów: kryształową klarowność prozy, może najdoskonalszej jaką stworzył nasz język, szlachetność rytmiki i kadencji zdań, niemal namacalną plastykę opisów, dokładność zdumiewającą i bogactwo niewyczerpane w malowaniu ludzi, krajobrazów, zwierząt działań, ludzkich słów i wrażeń.

Tematem dzieła Dąbrowskiej jest świat ustępującej warstwy ziemiańskiej. Jak nikt przed nią, umiała przedstawić ten proces w jego codziennym, nieubłaganym biegu. W swym arcydziele Dąbrowska — jak świetnie ujął to Breza — urządziła warstwie ziemiańskiej, niejako kondukt pogrzebowy, jeden z najwspanialszych konduktów tego rodzaju. Podobnie jak Tomasz Mann w Buddenbrookach grzebał wielkie mieszczaństwo niemieckie, ona odprowadza w przeszłość ziemian polskich, ich ideologię i obyczaj. W sposób jakże ostry i sprawiedliwy kreśli konflikty między dworem i wsią, wnikliwie maluje różnice dzielące te warstwy, przedstawia konieczność takich właśnie przemian. Innym kręgiem tematycznym, który ją interesuje i który różnorodnie roztrząsa, jest sens i wartości codziennego życia. Ale nie sięga po ten temat, aby kreślić zasmucający pejzaż nudy i znikomości, przeciwnie, życie codzienne będące udziałem tak wielu, jest u niej przedstawione jako źródło trudów i zawodów, ale i uroku — w ogólnej sumie warte, aby nim żyć. Z dzieła Dąbrowskiej bije optymizm zawsze tak człowiekowi pomocny i wiara w lepszy i głębszy sens ludzkich poczynań.

Jest rzeczą uderzającą, że „Noce i Dnie", ukazały się w tym samym roku co posępna książka Céline'a — „Podróż do kresu nocy". Pierwsza stała się źródłem siły dla czytającego, druga sugerowała nihilizm i śmierć.

*

Wielkie zasługi Marii Dąbrowskiej dla narodu i dla kultury ojczystej zostały ocenione i nagrodzone podczas pięknej uroczystości jubileuszu jej czterdziestolecia pracy literackiej. Uroczystość ta odbyła się w poniedziałek 18 b.m. Obszerną salę posiedzeń Domu Literatów w Warszawie wypełniły tłumy wielbicieli talentu znakomitej pisarki. W ich obecności — minister Sokorski udekorował Marię Dąbrowską Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, po czym przemawiali pisarze: Kruczkowski, Nałkowska, Andrzejewski, Breza, Iwaszkiewicz, Adolf Rudnicki, Przyboś. Wszyscy podkreślali zgodnie wielorakie wartości dzieła Dąbrowskiej, podziwiając jej postawę odważną i prawą w czasach niesprzyjających pielęgnowaniu tych cech, dziękując za wysoki artyzm jej utworów, który postawił je na równi z największymi osiągnięciami prozy światowej, z dziełami Szołochowa, Sigridy Undset, Martin du Garda. Maria Dąbrowska odpowiedziała słowem prostym, może najpiękniejszym z tych, jakie są w języku: dziękuję. Dziękowała społeczeństwu za to, że uznało jej zasługi i jej użyteczność, dziękowała Państwu Ludowemu i jego Rządowi za uznania i odznaczenia i za wszystko, co dla niej zrobiono, dziękowała Janinie i Jakubowi Mortkowiczom, którzy w trudnych dla niej czasach pomogli jej rzetelnie, ale nade wszystko dziękowała prostym ludziom swego kraju, którzy jak zawsze przed tym, tak i w tym dniu dali wyraz uznania i wdzięczności dla jej pracy.

Patrzyłem na niewielką postać, na siwe włosy i na drobne ręce kobiety, która dokonała w życiu tak wiele dźwigając trud olbrzymi i osiągając szczyty. Dziwiłem się jej prostocie, jej skromności zastanawiając się co to takiego kazało Marii Dąbrowskiej wybrać taką właśnie drogę i pozostać na niej tak wierną przez tyle lat. I przyszły mi na myśl słowa przez nią kiedyś napisane: „Nikt nikomu na świecie nie jest obcy".

Wypowiedzieć takie słowa w czasach atakującej pogardy, uwierzyć w nie i zaświadczyć przed drugimi że są prawdą, nakłaniać trudną pracą i wielkim artyzmem do wierności dla tej prawdy, to piękny czyn społeczny i wielka odwaga. I za to ją czcimy.

Alfred GERARD

BENEFIS

(Ciąg dalszy z numeru poprzedniego)

BIESIADNICY wciąż głośniej zaczęli ich wzywać.

— Idź naprzód — powiedział — uspokój ich. Powiedz, niech tak nie krzyczą.

Weszła bocznym wejściem. Ktoś koziołkujący zawzięcie, rzucił się jej pod nogi. W żółto niebieskich ciemnościach o mało jej nie przewrócił.

Pochyliła się nad rozjuszonym, gdy właśnie stanął na rękach i uderzył głową o podłogę. Myślała, że krew za chwilę wytryśnie mu z twarzy, aż fioletowo nabrzmiałej.

— Nie zatrzymuj mnie — prosił — muszę się obracać!

Spojrzała rozszerzonymi oczami, wydało się jej bowiem, że człowiek ten mocno paruje.

— Wychodzi z niego — krzyczeli. Poczuła na sobie czyjś wzrok i momentalnie odskoczyła w tył. Syczące wywinął koziołka, ciężko potoczył się dalej, lecz cień jego wypukły i kręty, nieledwie o nią zawadził. Pośliznęła się.. Znów wypadło jej przezeń przeskoczyć ale zatrzęsła się przy tym. Zrobiło się jej niedobrze. Zaczęła szukać spojrzenia, które wprawiło ją w ruch i napotkała je oto. Nie mogła się jednak z nim zmierzyć.

Safira stała naprzeciw. Już zdążyła przymrużyć powieki. Złe światło jęło przenikać do krwi.

— Czym różni się taka noc od miłosnego zbliżenia kochanków? — myślała. — Czy to ręce kapłanów czynią namiętność piękniejszą?

Anna zaczęła iść prędzej.

— Nie masz mi czego zazdrościć — rzuciła jej mimochodem. — Ciesz się ze swego panieństwa!

Działając jak gdyby wbrew sobie, wyciągnęła obie ręce do niej. Zakręciły się wokoło jak dzieci, unosząc twarze ku niebu. Bezmierna otchłań powietrzna wejrzała na nie okiem nieruchomym. Anna przypomniała sobie ów stan zagubienia, poczęty w głębi ogrodu, teraz boleśnie widoczny.

— Chciałam cię o coś zapytać — szepnęła — jeżeli się nie pogniewasz..

— Jest już za późno na gniew. Safira obejrzała ją od stóp do głów.

— Gdyby nie te nogi — wmawiała sobie uparcie — to by się z nią nie ożenił. Taki kształt. Cóż, widać natchnęły ją palmy.

— Znasz go lepiej — szepnęła Anna zuchwale. — Powiedz mi, jaki on jest? Safira poczuła ogień na twarzy. Przeraziła ją niedyskrecja Szymona. Postanowiła ją trochę oswoić. Radowało ją, że Anna czuje się przy nim niepewna. Hm, nie wie kogo dostała. Wypada nią pokierować. Ta okazja do figlów złośliwych momentalnie stłumiła w niej wstyd.

— Jaki on jest? — powtórzyła. — To dobre!. Więc mam ci przekazać swoją wiedzę o nim? A co ty o mnie wiesz?

Anna nie wytrzymała jej wzroku. Leciuteńko pochyliła głowę. Krew jej nabiegła do oczu. Najwidoczniej traciła już rezon. Ta rozmowa wydała się jej żenująca.

— Słyszałam, że ty mu się podobałaś — odpowiedziała z myślą, by jak najszybciej to przerwać. Teraz jednak Safira odnalazła jak gdyby smak utajony w istocie tego zwierzenia i stopniowo zaczęła ją wciągać. Rzec można, rozkoszowała się tym jej lękliwym wzburzeniem. Pragnęła je spotęgować. Opowiedziała jej jak się poznali z Szymonem. Poszła nad czarny staw, pełen kręcących się wężów, by rzadkie zebrać tam zioła na trzęsawisku gorącym. Sama nie wiedząc kiedy zapadła się w grząskie czerwono bulgocące bagno jak by w zieloną noc, słodką, wilgotną i parną. Odurzenie biorące się z z błota wstąpiło w nią z mokrych podziemi. Muł ją pokrył i ogarnęła gorączka, ostre trawy cięły krzyczącą do krwi. Płynąc usłyszał ją w łodzi. Dobił do brzegu i podszedł do niej na deskach. Wyciągnął ją czarną, pałającą i pogryzioną. Całą w dreszczach!

— Tak się to między nami zaczęło — intrygowała ją coraz to więcej.

— Z początku też mnie przerażał. Do wielu rzeczy trzeba się u niego przyzwyczaić. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek dzikość zupełnie uszła mu z oczu. Jakże miałam nie lękać się jego ramion, którymi zadusił człowieka? Jedno tylko: po ciemku rusza się jak nietoperz. Na obcą dziewczynę nie wpadnie.

Zastanowiła się chwilę. Dodała:

— Rzeźbiarze podobno są tacy. Odbiją się na nas ich pociąg do kształtowania kamieni. Zastanawiam się nieraz, czy pan młody powinien być taki żylasty?

— Czy wygląda na zakochanego? — zagadnęła ją Anna niezręcznie.

— Będzie cię kochał, dopóki nie uchwyci twych wszystkich proporcji. Nie wiem, czy twoje serce tę jego miłość wytrzyma. I czy uzgodnicie wasz rytm. Pomyśl tylko: taki mroczny niedźwiedź. I w dodatku dla ciebie za mały.

— Zaraz do ciebie wrócę — powiedziała Anna niemal bliska płaczu. — Musisz mi to dokończyć. Na razie wypada mi zająć się gośćmi.

Coś odrzuciło ją w tył. Odnalazła w sobie gwałtowne pragnienie ucieczki. Teraz podeszła do niej dziewczyna o męskich barkach, srebrnowłosa i muskularna, usiłująca wokół niej tańczyć.

— Powiedz mi, co to jest ślub — zawołała. — Czy czujesz się po nim inaczej?

— Trochę jak kurczę na rożnie!

Lecz tamta nie chciała poprzestać na żartach. Przejął ją głód wtajemniczenia, silniejszy niż wszystko na świecie.

Objęły się ramionami. Mówiły o przeistoczeniu już prześwietlonej na wskroś. Wysławiała powściągliwość męża, którego obrzęd uciszył i jak gdyby spętał. Lecz przyjaciółka dopytywała się o nią. Trudno jej było uwierzyć, że Anna jeszcze nie zdążyła rozeznać się w sobie. Wyglądało, że zatraciła wiedzę o swej wrażliwości kobiecej. Ryzyko zamążpójścia ujawniło się znów z całą siłą.

Człowiek z koźlą głową przerwał szepczącym w półcieniu.

— Droga Anno — zawołał do niej przez drzwi. — Idź proszę, uspokój celnika.

— A cóż on takiego robi?

— Psuje zabawę. Do znudzenia pyta wszystkich co czują po winie. Do każdego się z kolei przysiada.

— A oni co?

— Niektórzy kpią sobie z niego, ale większość całkiem poważnie ze znaje. Mój brat mówi, że on zwietrzył tu zakazany narkotyk. Chce przesłać próbkę do Rzymu.

— Czekaj. Naradzę się z mężem. Zaraz do niego pójdziemy.

Stanawszy w kręgu światła, stwierdziła, że koźli łeb trochę przesadził.

— Chodź, odejdziemy do gości — szepnęła.

GDY Szymon znalazł się przy niej, obecni pochylili głowy. Unieśli kielichy ku górze i kolejno przepijali do nich, robiąc im miejsce przy stole.

— Każdy jej ruch mnie odmładza — powiedziała kobieta olbrzymia i ciemna, widocznie garnąca się ku niej.

— W istocie nie nabrała jeszcze ociężałości właściwej kobietom zamężnym.

— Będzie miał ciężką noc — usłyszała Anna i spuściła oczy, aby nie spojrzeć w tę stronę.

— Czy wyglądam na bardzo spłoszoną? — pochyliła się do przyjaciółki.

— Nie. Na walczącą ze wstydem.

Siedzący bliżej zaczęli jej się przypatrywać. Stwierdzili, że już odtajała.

— Dużo tam nasadziliście kwiatów w ogrodzie? — krzyknął ktoś do Szymona.

— Przyjmą się, miejmy nadzieję!...

Karzeł przybliżył się do nich.

— Widzę, że już dostaliście skrzydeł — mruczał różowy i błogi. Chwycił go za ramiona i przybliżył ku niemu swą twarz.

— Aleś ją dzisiaj roziskrzył!

Próbowała to w sobie odnaleźć. Ubawiło ją, że lśni jak kot po deszczu.

— Figlarna — plotkowały staruszki na boku. — Figlarna! U niej to rzadkie.

Powstrzymał ją mocno w momencie, gdy chciała wskoczyć na stół.

— Co to takiego — zawołał, tłumiąc w niej słodkie wzburzenie.

— A co zrobisz, jak ona wyjdzie ci w nocy na dach? — Siostry znalazły się przy nim. Nie przestawały chichotać.

— Po cóż by tam właziła? — zagadnął je nieopatrznie.

— Bo jest wrażliwa na księżyc. Będziesz ty z nią miał...

— Ręczę wam że jeszcze go nie poznała — żartował gospodarz wesela.

Zlekceważył ten spacer w ogrodzie.

— Coś musiało ich zbliżyć do siebie — perswadowali mu młodzi wokoło.

— Już zapewne znalazł sposób na nią.

— Misterium — myślała Anna. — Misterium, zawsze przez krew.

Teraz panny zwróciły uwagę, że Safira nie przestaje się Szymonowi przyglądać.

— Powiem jej. Niech mu da spokój. Poznała go lepiej, niż żona.

W Szymona wstępował jakoby ruch mórz, przelewających się z szumem u brzegu. Siedząc, kołysał się niedostrzegalnie. Czuł wino coraz mocniej musujące w gardle. Gotów był obiec świat w koło, by sprostać szybkości swych nóg.

— Co byś chciał — pytali go przyjaciele.

— Oderwać stopy od ziemi — mruczał, nie wiedząc, że to za karłem powtarza. — Raz wreszcie przebrać swą miarę!

— Czy wiesz — zwrócił się nagle do Anny — dzisiaj nasz czas się dopełnia.

Nie był pewny, czy zrozumiała, wzbudził w niej jednak pierwsze uniesienie. Zapytał ją, jak się czuje?

— Nie mogę mówić — usłyszał — nie mogę mówić. To trwa.

Mdliło ją, jak gdyby znalazła się na wysokościach. Widział, że chwyta się z całej siły obiema rękami za stół.

— Coraz wyżej — wyszeptała wreszcie i prędko przesłoniła sobie usta dłonią.

Dotknął ją. Spostrzegł, że już zelżała w oporze. Było w niej miejsce na Hymn:

— „Wszystkie królestwa i księstwa — cytował. — Wszystkie władze i potęgi niebios...“

JEJ uroda jęła udzielać się rzeczom. Anna chciała dziś siebie prześcignąć, zwróciła się oto ku niemu.

— Jak ci jest ze mną? — zagadnęła go niespodziewanie.

— Jakbym pierwszy raz spojrzał na księżyc.

Poznała, że krew mu się w żyłach nie mieści, gotowa trysnąć na zewnątrz. Taką w tej chwili miał twarz, pełną pragnienia świata. Lecz lękał się jeszcze swej pasji.

— Nie wierz radości ciała — doszło doń nagle z daleka.. Spojrzał, z każdym tu gotów się zmierzyć. Już mu to kiedyś mówiono, że nigdy jej w pełni nie dozna.



— Co to było drzewo wiadomości dobrego i złego — zastanawiała się Anna. Gdy wino weszło jej w nogi, przypomniała sobie, co mówił ten Egipcjanin. „Bóg, twierdził, na samym początku gniewnie strzegł ekstazy towarzyszącej tworzeniu. Za nic nie chciał udzielić jej ludziom, którzy jednak ów sekret rozkoszy wykradli. Dlatego upojenie, przenikające nas w chwili poczęcia, znalazło swój odwet w krwawej boleści narodzin“. Niespokojna przytuliła się doń po raz pierwszy od początku uczty.

Czerwony z łysą głową przeciwny był ich młodemu olśnieniu.

— Co ty tam skwierczysz — wsiadł na niego karzeł i od razu wywołał zwierzenia.

— Nie wierz im — pieklił się tamten. — To wino żądze wysusza.

Ciemność wokół niego zdała się gorzka i oschła. Już od godziny narzekał na tępy ucisk w skroniach.

— Mówisz, że ci zimno a my widzimy, że ty parujesz i trzeszczysz!

Nic nie odpowiedział. Brak mu było słodyczy, gorączkowego pragnienia. Doznając czczości okrutnej, raz jeszcze odeń usłyszał:

— „Wypije rzekę a nie zadziwi się. I ma nadzieję, że się Jordan wleje w gębę jego“...

— Daj mu spokój — łagodził go młody. — Powiedz lepiej czy możesz sprzedać mi swego wielbłąda. Mówią o nim, że biegnąc, wprawia w ruch piaski pustyni, że pustynię porywa za sobą.

Wyrzekłszy to, ujrzał przed sobą suche morze, ulatujące w galopie.

— Ach! — przyszło mu nagle do głowy — unieść się w chmurze ognistej!

— Zobaczę — odparł zaskoczony karzeł. — Pozwól mi chwilę pomyśleć. Widzisz przecie, że ledwo stoję. Dziś serca starczyło mi ledwie do wschodu księżyca.

Ostatnie słowa nie miały związku z pierwszymi. Bezwładnie je wybełkotał.

— Wszystko jedno — przerwała im Anna. — Nie będziecie tu teraz handlować. Wielbłądy nas nie obchodzą. Była zdania, że ślub bez jednego występu czy tańca byłby ślubem niemrawców i kalek. Zaraz więc przywołała swoją srebrną Martę, aby z nią program ułożyć.

— Zacznę z wężem — proponowała jej muskularna tancerka — tylko ktoś musi go oczami wesprzeć, żeby się wzniósł na ogonie.

— To głupstwo. Mamy tu Faresa. On lwa spojrzeniem poraził. Ale skąd tu dla ciebie wziąć gada?

— Sama go sobie przyniosę. Zostawiłam go u hodowcy w koszu naprzeciwko.

— Tam, gdzie te sztuki ćwiczycie?

— Tak jest.

Zawinęła się i poleciała. Ruda czterdziestolatka spojrzała na nią jak na pomyloną. Być może nie mogła odnaleźć w sobie tej potrzeby szybkiego biegania. Żaden wicher jej dziś nie ogarnął. Przecząc wszystkim, sączyła w nich rzeczy zjadliwe. Słuchało jej kilka osób. Szymon zatrzymał się przy niej, kiedy powiedziała, że w ich Jehowę nie wierzy.

— Buntuje się przeciw wszystkiemu — oświadczył gospodarz wesela. — Nawet stworzenie świata wydaje jej się zbyteczne.

— Ale co ci w tym świecie doskwiera? — zapytała Anna, stając za jej plecami.

— Odpowiedzcie mi, czy duch dobry pozwoliłby nam działać wedle własnej woli, z góry wiedząc, że sprowadzimy na siebie nieszczęście? Czy sprawiedliwa może być swoboda dana zbrodniczej słabości? Nie ma wolnego wyboru, skoro przeważa w nas skłonność do zła.

— Przyjechała z Grecji — objaśnił ich karzeł i kichnął. — Czujecie — zapytał głośno — ten zapach przelatujących błyskawic?

— Już leje — zawołała tancerka i postawiła żółty kosz na stole.

Kiedy uniosła pokrywę, odskoczyli w tył. Czarny wąż grubości męskiego ramienia zakręcił się w środku, wyskoczył jak błyskotliwa sprężyna. Marta przyłożyła piszczałkę do ust, jęła wabić go przeciągłym świstem. Z tyłu podszedł do niej płowy i skośnooki mężczyzna w czerwonym zawoju na głowie. Wtedy wąż ześliznął się na podłogę. Jak gdyby czymś porażony, znagła wystrzelił ku górze czarno-złocistą spiralą. Stanęła na przeciw niego w swej szacie ze srebrnych łusek metalicznie błyszcząca i blada, złożyła ręce na piersiach. Zauważyli, że drży. Gdy owinął się wokoło jej nóg, spłynęła potem rzęsistym, nie mogła chwycić oddechu, wyprężyła się. Znieruchomiała.

— Czy już go trzymasz oczami?

Pogromca skinął głową i przybliżył ku niemu swą twarz. Potem wyjął jej piszczałkę z dłoni i nie spuszczając zeń wzroku przyłożył ją wolno do ust. Słodko zaświstał na niej i jakby podbił go w górę. Dygocący jął wspinać się po niej. Gdy odezwała się mocna muzyka, rozluźnił ucisk widoczny na linii jej nóg i zaraz przesunął się wyżej. Teraz wił się dookoła bioder, a żebra ścisnął jej tak aż żółte uwypukliły się oczy, a kropelki krwi wystąpiły na wargach. Otworzyła usta broczące czerwono.

— Bębny mocniej — wybełkotała siniejąc, a już jej piersi dosięgał i zaczął przymilać się do nich.

Ogłuszyli go z bliska, łoskot wzniecając piekielny i wówczas Marta się poruszyła. Zobaczyli, że podąża za ruchami gada, wspartego na sztywnym ogonie. Okręcała się w koło w miarę jak ją spowijał drgała coraz prędzej, lecz bliskość jej jak gdyby stopniowo go obezwładniała, zwłaszcza, że odezwały się harfy dźwięczne i odurzające. Słysząc je, pyszczek otworzył, wewnątrz boleśnie zraniony. Bliżej stojący ujrzeli, że pozbawiony był zębów i maleńkich gruczołków jadowych. Ale języczek wysunął ruchem doświadczonym i natężywszy go ostro zmierzał w kierunku jej warg. Gromy biły prześcigając się w huku z orkiestrą, z nieba spadał srebrny deszczowy tusz, krople waliły na odlew, trąby uniosły się wyżej.

Wąż upadł tańczącej do nóg, zadrżał i zsunął się po niej. Wrzuciła go szybko do kosza i zasunęła pokrywę. Biesiadnicy pochwycili dziewczynę na ręce i tańcząc długo klaskali. Nikt nie zwrócił uwagi na niepokój i rumor przy drzwiach. Ktoś opowiadał o trzęsieniu ziemi...

— Powiedz, jakeś się stamtąd wydostał?

Wyszło na jaw, że uciekł na koniu, ścigany przez strumień lawy ognistej dosięgającej już kopyt. Dymiące rozpadliny rozstępowały się wszędzie po bokach. Galopując, prześcigał płomienie.

— Skończyło się już — uspokajał, aby nie zepsuć wesela. Młodzi gniewnie na niego mrugali. Zaraz też dano mu wina.

Chodźmy stąd — szepnął do żony. — Po cóż dziś słuchać o klęsce?

Szli jak gdyby podążając za obrotem ziemi, wciąż okrążali ich w koło.

— Chcę się temu do końca powierzyć — usłyszał. Mówiąc to zakołysała się tak, że ledwie ją zdołał podtrzymać.

— Co się z tobą dzieje — krzyknął i zajrzał jej w oczy.

— Góry mnie przyciągają — wykrztusiła, śmiejąc się do niego. — Na co tylko spojrzę, to mi przypada do rąk.

PORYWISTY i odurzający szum ogarnął ich teraz oboje. Zapytał o czym rozmawiała przed chwilą z kapłanem?

Choć nieudolnie mu to powtórzyła, zrozumiał że w dniu ślubu sam Bóg przywraca nowożeńcom prawo do uczestniczenia w Swej twórczej ekstazie i odejmuje jej znamię skażenia. Osobiście jęła mu wina dolewać i pierwsza podniosła kielich do ust. Z każdym haustem przenikał nią ogień znagła otwierający otchłanie. W tej chwili Szymon pochylił się nad wyrzeźbionym. Ujrzał coś, jak gdyby źródło bijące w kielichu, przechylił go i spróbował.

— Ależ to — szepnął — ależ starczyście przenika!

Napój żywcem wpłomieniony w ciało jął ich ku sobie przybliżać. Zdawało mu się, że wchłania świetlistą istotę, a nie płyn, przelatujący przez gardło. Oddech jego po raz pierwszy słodko w nią przeniknął. Dlatego wciąż głębiej rozchylała usta, wypatrując działania misterium. Noc poruszyła horyzont.

— Czystość — powiedział Szymon — czystość... To jedno jest ważne. Ujrzał ramiona Anny rozpostarte na odległość gór, bielsze niż kiedykolwiek.

— Słyszę jak lilie rosną — szepnęła gospodarzowi wesela.

Patrząc na nią, poznał czym, może się stać w rękach męża i tak marząc tu przy niej, odmłodniał.

Tańczyli — wyskakując nieledwie ze swych skór.

— Nawet moja miłość jest mi obojętna — zwierzał się karzeł pannie. Nie czuję własnego ciężaru. Ulżyło mi — powtórzył jeszcze raz — ulżyło chyba na zawsze.

Tylko człowiek z koźlą głową nie puszczał od siebie sąsiada. Po raz trzeci już mu opowiadał jak to weń włócznia ciśnięto:

— ...czułem jak płaty żelazne na piersiach się gną. Wóz mi nad głową przeleciał... Kręciłem się jak piskorz już leżąc między kołami...

— Co ty robisz — krzyknęli, zwracając się w stronę grubasa, który dalej mocował się z palmą.

— Mógłbym drzewo z korzeniami wyrwać — mruczał, chwytając oburącz za pień. Grzązł stopami w piasku.

— Mógłbyś, ale nie umiesz!

Szymon zniecierpliwiony rzucił się ku niemu, złapał palmę przy

ŻYCIA

samej ziemi i jak marchewkę wyciągnął.

— Nie zazdroszczę tej małej — powiedziała ruda czterdziestolatka. Gdy ustały okrzyki podziwu, pierwsza podeszła do Anny, aby się jej bliżej przyjrzeć.

— Czy ci swą siłę okazał? — spytała.

Zagadnięta spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc.

— Nie tylko mnie, ale wszystkim — odpowiedziała na sposób dziewczęcy. Ukazała jej oczy zielone i podsiniałe, a w nich puszystą omdlałość.

— Jest w niej porażenie ostatecznością — pomyślała ognistowłosa i cierpka. Miała ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego. Przybliżyła twarz do jej ucha i ogarnęła ją chudym ramieniem. Szept jej nagły wyzwolił rumieniec. Potrzący z boku ujrzeli: łunę rozkwitającą na wargach. Anna zaszła gorącą czerwienią. Słuchała jej w zawstydzeniu głębokim.

— Boleśnie poniżające — myślała. Przycisnęła do siebie kolana i nieznacznie się wyprostowała.

— Niepodobna jesteś do siebie. Inna niż z wieczora.

— Wtedy się jeszcze nie znałam.

— A czy teraz już wiesz, jaką będziesz?

Uniosła brwi i mrugnęła. Ciepło się koło niej robi — pomyślała czterdziestolatka. Widać dla niego dojrzała..

— Mówisz, jakbyś się mówić uczyła! Dlaczego z taką trudnością?

— Bo tego się słowem nie chwyta.

— Kiedy dwadzieścia lat temu wychodziłam za mąż — niezmordowanie zwierzała się ruda — wierzyłam w to zespolenie jednak jak większość kobiet i ja przeszłam przez to samotnie. Z nikim nie osiągnęłam jedności. Dlatego pozostałam wolna...

Przy tych słowach twarz jej się rozluźniła. Patrząc z bliska Anna dostrzegła w niej coś, jakby zalążek śmiertelny.

— Co ty właściwie lubisz — zagadnęła ją ta koścista z odcieniem wiewiórczym.

— Wazy gładzić. Dotykać zwierząt i tkanin.

Słuchając tego, pojęła, że nie odkryje w niej zmysłu pieszczoty.

TERAZ Anna podała jej kielich i przepiła do niej. Nie przestawały się sobie przyglądać.

— Widzisz, jakie w nas życie wstępuje? Takiego jeszcze nie znałaś.

— To rześkość wszystkich źródeł — usłyszały nagle. Jakiś człowiek przeskoczył przez stół ponad głowami siedzących. Czerwony opilec wsparł ciężką głowę na rękach.

— To próżne pożądanie — mruczał. Pali tylko i sprawia mi ból.

Wyglądało, że już naprawdę zasypia. Lecz ze słów sądząc zapadał się w półśnie pod ziemię.

— Patrz! — krzyczał do gospodarza wesela. — Widzisz, jak poczerniała mi twarz? Zginać się wcale nie mogę!

Najwidoczniej poraził go przeciąg.

— Duszno tu — charczał — czuję truciznę w powietrzu.

— Co on bredzi? — dopytywała się ruda sąsiadka.

— Nie może zabić pragnienia. Słup ognia stanął mu w gardle.

— Nie mówcie o nim — przestrzegał ich karzeł zgryźliwie. — I nawet nie patrzcie w tę stronę. W nim szatan jest pognębiony.

Teraz dopiero na dobre podpatrywać jęli owego czciciela ekstaz zwierzęcych.

Zgarbił się oto, szpiczaste łokcie oparł na kolanach, pofałdowała się na nim fioletowa szata, łańcuch błyszczał na karku czerwonym. Czarne biło od niego gorąco. Krew uderzyła do głowy, gdy dziewczynę przelatującą nagłym ramieniem ogarnął. Znienacka przezeń porwana i objęta wpół poczuła koło siebie coś, jakby włochatość diabelską. Zakręcili się w koło, odpadli od siebie jak dwa zeschłe wióry.

Usiadł ciężko. W mgnieniu oka zatracił smak rzeczy cielesnej i starczy bezwład ukazał. Można było sądzić iż wyzbył się samego siebie, tak zeń niewiele zostało. Słaniał się w ryżej mgle, a nieśli już lampy chwiejące się w oczach, złociście rozjaśnione winem.

— Patrzcie! — zawołał ktoś z boku. — Wciąż szuka, w kogo by wszedł!

Bek kozłów, zmysły wietrzących, noc tę przybliżył do ziemi. Odskoczyli od siebie i pokazali mu plecy. Anna uległa przyspieszeniu serca. Znalazła się obok męża. Pił z głową zadartą do góry i oddychał słodko, aż poróżowiała przy nim.

— Czas na mnie — szepnęła do przyjaciółki. Patrzała na owoce, z których wyciekał już sok.

Szymon ukazał jej postacie gladiatorów w chmurach. Dwaj ogromni z bliska nacierając, skłębili się w żółtym obłoku.

— Krew mi się w żyłach nie mieści — powiedział. — Ciśnie, jakby chciała wytrysnąć na zewnątrz.

Zatrzęsła się tak mocno, że wszyscy to zobaczyli. Głębokie i nieskończone pragnienie, pragnienie większe od śmierci jęło ich z bliska ogarniać. Było tu miejsce na Hymn, lecz on jeszcze w ich piersiach nie zabrzmiał.



— Wszystko w nim jest życiem — pomyślała Anna, żałując, że wstyd ją zniewala.

Stojąc przy sobie, ujrzeli wodotrysk bijący ku górze, ten który drżał razem z nimi.

— A Bóg — wykładał tuż obok karzeł niestrudzony — nasz Bóg jest nieustannym ruchem. Wciąż na nowo ożywia stworzenia, zawierające się w Jego istocie.

RUDA czterdziestolatka dosyć miała teologicznych rozważań. Wolała dziś mówić o życiu i o tym, co znaczy w nim ślub.

— Widocznie sami nie możecie się złączyć w czystości. Dlatego wzywacie kapłanów. — Drwiła mówiąc, że grzech się uświęca, gdy jest z obrzędem spojony.

— Z tą chwilą już coś obumiera — twierdziła. — Obumiera dziewiczość. To, co powiewne zanika. Dziewczyna przestaje być sobą.

Ale nie o to jej szło. Chciała wiedzieć, jakiego czynu dotyczy błogosławieństwo weselne? W co trafia?

— Zapytaj się Anny — krzyknęli.

Poszła więc do niej z tym i bardzo ją zawstydziła. Ten szept! Jakże go chciwie słuchała, aby odnaleźć smak ich złączenia i lotu.

— Wtedy osiąga się to — wyszeptała — by Boga słowem nie nazwać.

— Przejście na drugą stronę — usłyszały dziewczęta stojące za nimi. — Do pełni, tylko przez krew.

Zaczęli mówić o napoju, otwierającym drogę do serca wszechrzeczy.

— Co takiego? — zapytał ów celnik i zaraz do nich się przysiadł.

Najpierw tę srebrnowłosą zagadnął.

— To szumi we mnie — westchnęła.

— No, to opowiedz ten szum.

— Dobrze, lecz jak go wysłowić? Przyszło jej do głowy, że teraz oto zdoła zakląć w ruchu kołysanie palm i prześcignąć fale oceanu. Więcej! Z ogniem się w tańcu sprzymierzyć!

Stojąc przed nim, jęła próbować giętkości swych rąk.

— Mięśnie — mruknęła — lepiej się dziś naciągają: o tak!

I błysnęła się tylko w powietrzu. Zrobiła salto przez głowę.

— Nigdy taka nie byłam!

Ujrzeli, że stoi na rękach. W fontannie, bijącej ku górze odkryła ten nowy swój ruch..

Ach, ucieleśnić to pionowe drganie! Z całej siły wystrzeliła ku górze! Jakże ostro wspięła się na czubki palców! I aż pod pułap wionęła.

— W istocie — powiedział człowiek o wodnistych oczach — ten prorok jest sprzymierzeńcem młodości. Skaczecie wyżej od kozłów. Tego się dziś nie spotyka.

Kazał zarezerwować część wina dla Rzymu.

— Czuję, jakbym poruszał się w rzeczach — szepnął Szymon gospodarzowi wesela. — Jakbym je wszystkie przenikał. Na co tylko spojrzę — zdaje się być we mnie. Wygląda, że z moich rąk wyszło.

— O jakie pragnienie świata — usłyszał. Uniósł wzrok ku górze. Powstał z miejsca, widząc że Anna nadchodzi. Wzięła celnika na bok, prosząc by ludziom dał spokój. Oświadczył, że im nie zaszkodzi.

— Chcę wiedzieć, jak wino to działa! I ty mi o tym opowiesz! — Spojrzał na nią tak, że aż poruszyła wargami. Sama nie wiedząc kiedy, jęła mu sekret wyjawiać.

— Jest w tym napoju — mówiła — „płomień słodyczy bolesnej". Jest „czule raniący mnie żar". Przeszywające i słodkie, delikatne tchnienie.

Widział że pije i drży. Nektar prześwietlający na wskroś — zapamiętał. Zaprawdę w tym winie złoci się światło błyskawic. Idąc od niej, poruszał się razem z drzewami i chciwie wdychał gorący pot dziewcząt, zmieszany z wonią czerwonawo wieńczących je kwiatów. Zstępował w ogród jak w tęczę. Podszedł do stągwi kamiennej, rzeźbionym kubkiem srebrzystym z głębi odurzającej zaczerpnął. Pijąc, wzniecał w sobie gwałtowność rozkwitu. Słuch aż do bólu natężał. Czerwonego opilca zwabił tu bekiem owczym, wepchnął go między dwa krzaki i zaczął wyciągać na słówka. Ani mu na myśl nie przyszło, że do zwierzeń pobudza gadułę. Stojąc, słuchał go zniecierpliwiony.

— Z tego nic. Jeno gorzka posucha i zimno. Przeraźliwe zaćmienie w człowieku. Piję, jakbym wyzbywał się ciała!

Tak kłamał, zstępujący wciąż głębiej w materię. Krew raz po raz uderzała mu do łysej głowy.

— Nie ma w tym smaku żądzy — tłumaczył wciąż natarczywie. — Ani żywego naporu proszących się na świat pokoleń! Tylko ta czczość okrutna. Próżne pożądanie.

— A więc cię trunek wyniszcza — spytał prokurator nagle zaintrygowany.

— Gorzej. Pozbawia mnie siebie. I lękliwy sprowadza niedowład...

Usiadł na ziemi tuż przy nim. Teraz bełkotał, jak człowiek w ataku duszności bolesnej. Wskazywał na poczerniałą swą twarz.

— To drżenie — wyjąkał bardzo cienkim głosem — to drżenie może mnie zabić. Popatrz! Zginać się wcale nie mogę!

— Zaraz sprowadzę ci pomoc!

— Nie przyjdą. Powiedzieli, że to rudy się we mnie rozpiera.

Wtedy człowiek o wodnistych oczach podbiegł do gospodarza wesela. Kazał mu zająć się chorym.

— A więc jednak komuś zaszkodziło — stwierdził złośliwie mrugając. Obruszyli się na to, wielu od stołu powstało. Na wyścigi mówili o winie. Jeden drugiego przekrzykiwał w tłoku.

PIÓRA, natężające się w skrzydłach do lotu, zabrzmiały teraz nad nimi. Urzędnik zobaczył ich ręce, nagle przypadające do skroni. Dziewczęcość w nich się przesila — pomyślał, słuchając ich mowy bezładnej a wynurzały się właśnie, jak gdyby oczyszczone w ogniu, niweczącym w nich słodycz i lepkość.

— Czuję się wyzwolony — usłyszał. — Na zawsze wolny od cienia!

Biesiadnicy otoczyli go ze wszystkich stron. Broniąc wielkości olśnienia, wyjawiali treść jego zuchwale. Padły słowa zdolne rozerwać horyzont. Świst światła, tnącego na przestrzał, wargi krzyczących zczerwienił. Przesłonił uszy, wysokim, rozdzierane śpiewem, a głos ten przejął go i poraził.

— Jest we mnie święty chłód — wmawiał sobie. Chciał im to powiedzieć, ale mu powietrze wtargnęło do gardła, a staw zielony zaiskrzył się tuż przed oczami. Już nieledwie na powierzchni stołu. Porywisty i odurzający szum jakże gorąco się wzmagał!

— Oto początek uniesienia — myślał, gdy osiągali już szczyt: płomień trawiący metale.

W istocie, nektar ten oświecał ich i poruszał. Gdy tak krążyli, przyjaciel podszedł do celnika.

— Przede wszystkim wyrzeknij się gestów — ostrzegł go zawczasu. — Nie strasz ich gwałtownymi ruchami!

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Jakbym się z groty wynurzył. Oślepiło mnie!

— Popatrz na pana młodego.

Szymon stał, wpatrzony w ogrodową skałę.. W białej bryle jak żywą odnalazł. Pociąg do kształtowania owładnął nim teraz na nowo. Palce tęskniły do dłuta.

—Podejdź tam ze mną — poprosił. — Chciałbym naprawdę już zacząć!

— To nie jest moment — odrzekła zaskoczona.

Chwycił ją jednak za rękę i silnie pociągnął za sobą. Idąc, już odgadywał utajone w niej smukłe proporcje. Porównywał jej ciało z materią, zdolną je odzwierciedlić i zakląć.

— Zanim ją dotknę — pomyślał — muszę w niej pannę utrwalić.

Goście patrzyli za nimi. Pewni, że już na dobre odchodzą, nie przestawali wokoło nich tańczyć.

Stanąwszy tuż obok głazu, w którym już jęła przeświecać, Anna słyszała ich śpiew. Jęli głosy do chóru natężać.

— Chwyćmy się za ręce — zawołał gospodarz wesela. — I niech ten ruch nas przenika.

Szymon bił młotem w dłuto. Odpryskiwały szczerby kamienne, biesiadnicy krążyli wciąż bliżej, prześcigając weselną melodię.

— Oto już w niej jutrzenkę wyzwolił — nuciły rozigrane panny.

Srebrnowłosa zrobiła salto przez głowę.

— Rozjaśnienie nastąpiło we mnie — wyznał opilec czerwony.— Wasz prorok widać przywrócił mi ciało.

Kolana przestały mu ciężyć, zakręcił się więc i podskoczył.

— Widzisz — majaczył karzeł — otaczają nas sami skrzydlaci!

Chmury, przypadające do nóg, unosiły biegnących wciąż wyżej. Widok Anny poruszał wirujących mężczyzn, wszystkie kobiety rozbudził.

Kształtowana w gorączce o brzasku przywracała ich życiu i światu. Stali tu jakby pośrodku złocistej łąki wiosennej. W bolesnym naprężeniu traw, światłem wieńczonych u szczytu dokonywał się pierwszy wzlot kwiatów, wytryskujących pionowo ku górze. Wstydliwie stulone kielichy przybierały kształt skrzydeł motylich. Tak oto wzmagał się trzepot i szum [illegible] porzucających łodyg, wystrzelające iskrami owadów.

...Który dał zakosztować im smaku żywiołów — śpiewano.

Tańczyli jakby chcąc przeskoczyć koło horyzontu.

Rzeźbiąc, obcował ze słonecznie przeobrażonym jej ciałem. W godzinie, gdy wstydliwa ustała dwuznaczność, zmysły miał pełne światła. Już teraz brał miarę dla czystej ich nocy, rozkosz tropił uśpioną w kamieniu.

— Zabity jest lęk przed ciemnością — nuciły przebiegające dziewczęta, tak pełne szmeru krwi żywej, że aż się za nimi obejrzał. Karzeł przeleciał tuż obok. Za ruchem rzeczy nadążał. Patrzyli na siebie poprzez powietrze parskające w locie, żółte i rozedrgane.

Znaczył już ręce Anny, dłonie jej różowiejące w tej porze rozkwitu.

— Nie myśl, co będzie — wyszeptał — nie prześcigaj czasu!

Pili obok, chłodząc gardła jeszcze nabrzmiałe od śpiewu.

— Całego mnie dziś roziskrzyło — wołał gospodarz wesela...

— Rozgrzała się, to jest jasne — powiedział karzeł i kichnął.

Brzask, pianiem kogutów zjątrzony, odsłaniał już cerę Anny przezroczystą, zielonkawo mleczną z lekkim odcieniem żółtawym. Ujrzeli obrzmienie jej powiek.

— Długo trwało zanim ją pozyskał — odezwała się mała Safira.

GÓRY, odlane z miedzi ogniście uderzające o siebie, wzeszły na horyzoncie. Ziemia traciła już cienie. Blask obnażył zielone akwarium weselne, płaskorzeźby roślinne na ścianach. Wino znowu wzburzyło w nich oddech. Jakieś zwierzęta rudo złociste i czarne głośno przebiegły wzdłuż domu.

— Co to — zapytał ktoś obcy.

— To te, co w krajobraz ponoszą.

Zerwał się żółty dzwoniący kurz skalny i przesłonił uskrzydlone drzewa. Usłyszeli jezioro, bijące w brzeg, całe w łopocie żagli. Ogród jaśniał, krzewów żółte zakwitły świeczniki i melodia uniosła się wyżej. Wiatr dał w ogniste piszczałki. .

— Popatrz — szepnęła do męża — jak ślicznie wokoło nas krążą!

Sama chciała za migotem, zapalającym się w oczach, drobniutkimi krokami nadążać.

Zewsząd ogarniał ich teraz porywający ów ruch biesiadników, kołyszących wiosenny horyzont.

Dziewczęta zgięły się w pół. Biegły przed siebie szybko z głowami pochylonymi ku ziemi. Teraz rozpostarły ramiona i szaty łopocące w locie, jęły ujmować im ciała. Lekkie i świetliste, kolorowo mieniły się na nich. Mężczyźni, skaczący tuż obok, wręczali im zapalone pochodnie. Szymon ujrzał stopy kołujących tuż ponad ziemią. Pragnął uchwycić ten krok, długi i posuwisty w półobrocie sprężystym, nagle wyrzucający ich w górę. W tej chwili zoczył dziewczęta padające jakoby na wznak. Blask srebrny ścinał się na nich. Słońce wschodziło pałając u szczytów, nabiegających już krwią.

Odurzeni, wpadali na siebie klaskając. Wiedli ich w stronę sypialni, ekstatyczną pędzeni muzyką.

Właśnie minęli jadalnię. Stół zamajaczył przed nimi jakby ołtarz biały. W miejscu tym Anna przystanęła chwilę, dotknęła go gorącymi rękami. Płótno, a pod nim marmurowy chłód — kolorowe sklepienie u ramion.

W powietrzu słodycz świątyni, kamień spryskany winem, dziewczęca cierpkość kadzideł.

— Teraz — pomyślał Szymon. Gdy kolana ciążyć poczęły ku ziemi, ślad wstydliwego skażenia został ich zmysłom odjęty. W chwili, gdy pijąc razem, głęboko przechylili głowy, niebo otwarło się w głąb. Dźwięk cytr coraz nowe otwierał przestrzenie...

W oczach jej krążący znowu unieśli się wyżej, prześcigali wysokość ich ramion. Skacząc jak gdyby pod wiatr, wyrzucali swe ciała ku górze, naprzeciw gasnących już gwiazd.

— „Jako pragnie jeleń do źródeł wodnych" — usłyszała Anna. Gdy sen ich ogarnął, usłyszeli słowa, przenikające do wnętrza winogron, prześwietlonych jak gdyby na wskroś...

Stał oto pośród wysokich stągwi kamiennych i patrzał w srebrne oczy wód okrągło świecących i znieruchomiałych. Dłonie Jego, znaczone wiatrem i słońcem, uniosły się tuż ponad nimi, a odblask ich śniady i mocny, głąb pałającą przesycał...

Śniąc tedy, od nowa wchłaniali moc przeistoczenia której nadążyć nie mogły wzburzone w tańcu oddechy...

— Hosanna na wysokościach — krzyczeli, a śmiech Jego wzbijał ich w górę, potężniejący w kręgu odurzenia, w olśnieniu nocy weselnej...

Alfred Gerard

Jan POGORSKI

PRZEMIANY NAJWIĘKSZE

Turkmeńska SRR	171.000 mil kwadratowych — około 1,5 miliona ludności; nafta, węgiel, siarka, hodowla bydła, uprawa bawełny.
Uzbecka SRR	146.000 mil kwadratowych — około 7 milionów ludności; bawełna, hodowla zwierząt, zwłaszcza owiec karakułów.
Tadżykska SRR	55.000 mil kwadratowych — około 1,5 miliona ludności; bawełna, jedwab, owoce, olejki.
Kirgiska SRR	78.000 mil kwadratowych — około 1,5 miliona ludności; bawełna, siarka, jedwab, hodowla koni i bydła, węgiel.
Kazachska SRR	1.059.000 mil kwadr. — około 6,5 miliona ludności: chrom, fosforyty, potas, nikiel, bor, węgiel, ryż, zboża.

ANALIZA obecnej sytuacji narodów Azji stawia nas w obliczu głębokich i zasadniczych przeobrażeń, jakie zachodzą w ciągu ostatnich lat na tym największym i najludniejszym z kontynentów. Przemiany te dotyczą zarówno dziedziny politycznej jak i społeczno-ekonomicznej a nawet i kulturalnej. Azja, a przynajmniej jej najbardziej zaludniona część, pozostawała jeszcze tak niedawno w pętach niewoli kolonialno-feudalnej ; dopiero wzrost świadomości politycznej mas kolorowych, ujawniający się w walkach z okupantem japonskim czy w zbrojnych powstaniach przeciwko imperialistom brytyjskim, francuskim i holenderskim, doprowadził do częściowego lub też całkowitego wyzwolenia tych narodów.



Równocześnie jednak obok ludów walczących z uciskiem politycznym czy gospodarczym istnieją w Azji narody, które swe wyzwolenie społeczne i harmonijny rozwój zawdzięczają, od trzech dziesiątków lat, pomocy i opiece wielkiego mocarstwa euro-azjatyckiego, jakim jest Związek Radziecki. Przemiany zaszłe na terytoriach Republik Środkowo-Azjatyckich od ćwierć wieku są olbrzymie a najbardziej widoczne rezultaty przyniosły właśnie lata ostatnie.

A przecież na tych bezkresnych obszarach, w obrębie których zmieściła by się bez trudu połowa Europy, żyło w 1920-tym roku zaledwie 10 milionów ludzi, należących chyba do najbardziej zacofanych kulturalnie i gospodarczo narodów Azji. Na terenach, które w prawiekach były kolebką rasy indo-europejskiej, żyły do niedawna jeszcze ludy na szczeblu rozwoju plemiennego, cywilizacyjnie przechodzące okres pasterski, z rzadka tylko trudniące się uprawą roli, koczownicze szczepy gnane głodem z jednego krańca pustynnego kraju na drugi.

Żadne prawie drogi nie prowadziły do tych ogromnych krajów. Komunikacja odbywała się przeważnie na wielbłądach. Nie było poza Taszkientem i Samarkandą większych miast. Nie było przemysłu poza paroma fabryczkami należącymi do Anglików.

Tam, gdzie wznosi się obecnie miasto Bałhasz, jeszcze podczas pierwszej pięciolatki mieszkała tylko jedna rodzina.

Tam, gdzie teraz rośnie miasto Karaganda, trzecia baza węglowa Związku Radzieckiego, były dwadzieścia lat temu trzy na wpół chałupnicze szyby.

Rewolucja zmieniła radykalnie całe życie tych narodów. Wyrwane zostały z podwójnej niewoli: carskich urzędników i własnych feudałów. Obeszło się bez systemu kolonialnego, protektoratów, gubernatorów, karnych ekspedycji. Ludy zamieszkujące olbrzymie przestrzenie od Uralu i Morza Kaspijskiego do gór Ałtajskich i szczytów Pamiru zostały w kilkanaście lat przeniesione — pomijając długi i męczący okres kapitalizmu — w warunki, które umożliwiły im przejście do socjalizmu.

Przyroda tworzyła się tu w ciągu milionów lat. Od tysięcy lat żyli na tych obszarach ludzie. Lecz kraj ten rozwinął się w ciągu niespełna lat trzydziestu. I dziś, człowiek podjął się tu największego w swej historii dzieła — przeobrażania przyrody.

„...POZBAWIONY WODY, MAŁO DOSTĘPNY, KAMIENISTY STEP"

W POŁOWIE XV-ego wieku, rosyjski kupiec, Afanasij Nikityn, odbył podróż do Indii, na długo przed pojawieniem się tam Vasco da Gamy. W dwa wieki później istniała już mapa Kraju Przyaralskiego oraz dorzeczy rzek Syr-Darii i Amu-Darii



Na kołchozowym pastwisku w Kirgizji.

Zachowana po dziś dzień mapa z roku 1697 jest dziełem Siemiona Remiezowa i nosi tytuł: „Rysunek Ziemi oraz Całego Pozbawionego Wody i Małodostępnego, Kamienistego Stepu".

Wyprawy badawcze podejmowane za czasów Piotra I-ego i późniejsze zorganizowane przez Rosyjską Akademię Nauk uwieńczone zostały, w 1746, opracowaniem mapy „Gienieralnoj Landkarty Rossyjskiej Impierii".

Polak Przewalski, wielki przyrodnik i podróżnik, niestrudzony badacz Azji Środkowej, pochowany jest na wysokim brzegu Issyk-Kulu u podnóża ośnieżonych gór Tiań-Szań.

Ale naukowe ekspedycje nie mogły poprawić bytu Kirgizów, Kazachów, Uzbeków i Tadżyków. Według spisu z 1920-tego roku tylko dwa procent ludności na tych obszarach umiało czytać i pisać. I tylko w pieśniach ludowych, przechowywanych przez akynów-śpiewaków dźwięczały nuty tęsknoty i podziwu dla dawnych bohaterów walczących o wolne życie. Islam położył swe piętno nie tylko na historię kraju zdobytego przed wiekami, ale przede wszystkim na obyczaje. Kobieta, rzecz prosta, nie miała żadnych praw. W okolicach bogatych w naftę, węgiel, siarkę, miedź, gips, nadających się znakomicie do hodowli bydła, uprawy roślin oleistych i bawełny rozpościerał się smutny „małodostępny, kamienisty step".

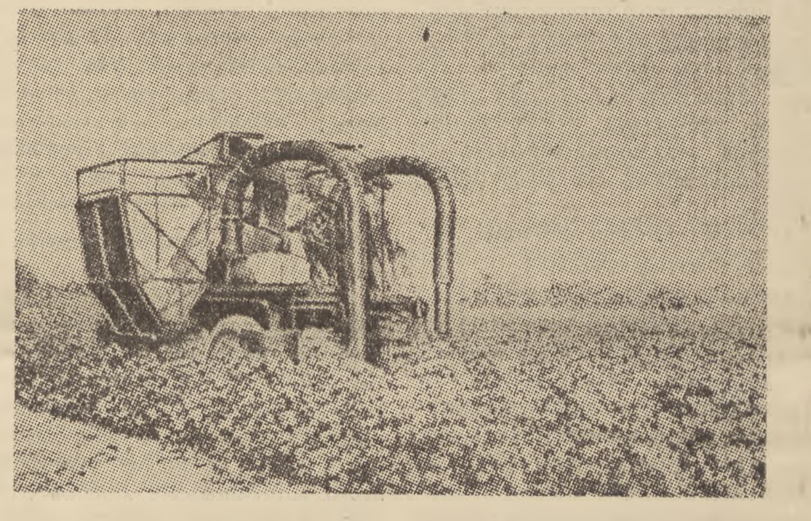
ODRZUCONE PIASKI

O jednym z władców starego Merwu — tego samego Merwu, którego milionową ludność wyrżnął w XIII-ym wieku syn Dżengis Chana — mówią kroniki, że był to władca dobry „albowiem kazał parokrotnie czyścić kanały, które wyschły jak serca zakochanych w czasie rozłąki".

Najazdy mongolskie zniszczyły starożytne systemy zraszające. Rozpętała się destrukcyjna siła piasków. Rząd carki nie przedsiębrał żadnych środków, by ocalić wysiłki poprzednich pokoleń. Na czterech piątych obszarów Azji Środkowej zapanowała pustynia.

Stosunkowo niedawno jeszcze w okolicy Buchary piaski zniszczyły całe osiedle Wardandżi. Jeszcze w 1929-tym roku odbywały się tam ożywione targi, sprzedawano bydło domowe, owoce, warzywa, tkaniny a zwłaszcza wyroby garncarskie. Piaski przesuwały się gdzieś na przedmieściach.

W dziesięć lat później, w Wardandży pozostała tylko jedna staruszka. Nie chciała opuścić domu, w którym się urodziła. Synowie i wnuki, przenieśli się do innego aułu i odwiedzali ją w święta. Grzęznąc po kolana w piasku, szli do zawianego piaskiem domku. Zasiadali do jedzenia starając się nie zwracać uwagi na skrzypiące w zębach ziarnka piasku. Staruszka surowa i wyprostowana czuwała nad biesiadą.



Uzbekistan. Maszyna do zbierania bawełny.

Kiedyś, starej Uzbeczce przyniesiono jej pierwszego prawnuka. Prababka rozpogodziła się na chwilę i dała mu do zabawy róg ostatniego barana, który niedawno zdechł z głodu. Czarnooki malec chwycił za róg i roześmiał się.

— Dżygit (zuch)! — zawołała stara. Ojciec dziecka tylko na to czekał.

— Ana — rzekł nieśmiało — może pojedziecie jednak z nami... Prosiliśmy już tyle razy. Wielbłąd czeka na progu.

Wtem, drzwi otwarły się z trzaskiem. Wtargnął wicher i piasek zawirował po izbie. Dziecko przestraszyło się i zapłakało.

— Tchórz! — powiedziała pogardliwie stara. — Zabierzcie go i wynoście się sami.

Radziecka pisarka, Wiera Inber, która opowiada o tym zdarzeniu, dodaje, że w 1949-tym w Wardandżi, nie było już najmniejszego śladu siedziby ludzkiej.

Ale ludność i rządy radzieckich Republik Środkowo-Azjatyckich, przy wydatnej pomocy władz centralnych, prowadzą wytężoną walke, by powstrzymać niszczący marsz piasków pustyni. Dla związania ruchomych piasków używa się niewielkiego drzewka o długich i chwytnych korzeniach. Jest to saksauł, o którym donosił jeszcze Piotr I Paryskiej Akademii Nauk, której był członkiem. „Saksauł — pisał — to drzewo o wysokości sążnia, podobne do sosny o cienkich i długich liściach, Jest bardzo twarde, ale kruche. Pali się dobrze i węgle trzymają długo żar. Z popiołu robi się ług, z którego wyrabia się mydło. Rośnie nad Syr-Darią i w innych miejscach otwartych stepów".

Dziś nasiona saksaułu rozsiewa się z samolotu. Saksauł żyje 20 lat, po czym korzenie jego giną.

Ale nie wystarczy zatrzymać pustynię. Trzeba ją ujarzmić, nawodnić, zmusić, by wydawała plony, karmiła bydło. Toteż najważniejszym problemem wszystkich Republik Azji Środkowej jest woda, urządzenia irygacyjne.

PUSTYNIA UJARZMIONA

W 1939 roku, przystąpiono do budowy pierwszego wielkiego kanału na tych obszarach. Dwieście tysięcy ludzi pracowało przez pół roku i powstał długi na 300 km. Kanał Fergański, do którego spływają strumienie i rzeki z gór Tiań-Szań, nawadniając kilkaset tysięcy hektarów, na których uprawia się przeważnie bawełnę.

Przy wejściu do parku w Taszkiencie wisi duża mapa Uzbekistanu a nad nią śmiałe hasło: „Zetrzemy z mapy naszej republiki nazwę Step Głodowy!". Mirza-Czul — Głodny Step, wielkie obszary położone na północnym wschodzie Uzbekistanu, których unikali nawet wędrowni pasterze.

I oto 10 lutego 1943, gdy wojna była jeszcze w pełnym toku, na granicy „Głodowego Stepu", przy skałach Farchadzkich, na rzece Syr-Darii, rozpoczęto budowę elektrowni wodnej. Farchadzka Elektrownia zaczęła dostarczać prądu. Nowymi kanałami popłynęły wody Syr-Darii niosąc życie roślinom i dobrobyt ludziom. Dziś na obszarach liczących setki tysięcy hektarów uzbeccy i kazachscy kołchoźnicy zbierają po 30 i 40 kwintali surowej bawełny z hektara.

Jedna z najpotężniejszych rzek Azji Środkowej, Amu-Daria, biorąca swój początek w górach Pamiru, jeszcze do ostatnich czasów wykorzystywana była tylko w niewielkim stopniu do celów nawadniania. Realizowana jest obecnie gigantyczna budowa, która zaopatrzy w wodę i energię elektryczną przede wszystkim Republikę Turkmeńską, zasili również okręgi przykaspijskie i nawodni około siedmiu milionów hektarów suchej pustyni Kara-Kum. Zasadniczą częścią tego hydrowęzła jest budowa największego chyba na świecie Kanału Turkmeńskiego, ciągnącego się na długości 1.100 km od Tachia-Tasza do Krasnowodzka nad Morzem Kaspijskim. Oprócz głównego kanału powstają szeregi innych kanałów irygacyjnych oraz rurowych o łącznej długości 3.300 km. Przy Tachia-Tasza buduje się czołową zaporę wodną a na głów-

(Dokończenie na str. 10)

Michał NOWACKI

POLITYKA POKOJU

TRWAJĄCA od 35 lat walka sił starego i nowego świata jest pod łożem, na którym działa radziecka polityka zagraniczna. Dąży ona do spa raliżowania prób wywołania wojny i do stworzenia warunków umożliwiających pokojową pracę nad przebudową wewnętrzną państw wyzwolonych spod wyzysku kapitalistycznego. Ciekawą próbę syntetycznego ujęcia tej polityki znajdujemy w artykule profesora Rubinsteina ogłoszonym w jednym z tegorocznych numerów dwumiesięcznika radzieckiego „Woprosy Filosofii"*).

Z wywodów prof. Rubinsteina, bogato ilustrowanych przykładami zaczerpniętymi z historii ostatnich dziesiątków lat, wyłania się ogólny obraz zasad i metod działania radzieckiej polityki zagranicznej. Punktem wyjścia jest zasadnicze założenie, że Związek Radziecki broni pokoju i walczy o pokój w imię interesów ludności własnego kraju, które są identyczne z potrzebami i pragnieniami mas pracujących całego świata.

Jedną z najkardynalniejszych zasad polityki zagranicznej Związku Radzieckiego jest obrona suwerenności państw zagrożonych i uciskanych przez mocarstwa imperialistyczne.

Związek Radziecki zwalcza zdecydowanie wszelkie teorie o rzekomej nierówności narodów i uważa, że każdy z nich ma swoje indywidualne cechy i właściwości. *„Właściwości te —* cytuje prof. Rubinstein słowa Stalina *— stanowią wkład, który każdy naród wnosi do ogólnej skarbnicy kultury światowej, uzupełnia ją i wzbogaca. W tym znaczeniu wszystkie narody, małe i wielkie, znajdują się w jednakowej sytuacji i każdy naród jest równy któremukolwiek innemu narodowi".*

Dlatego Związek Radziecki nie uznaje żadnej zależności kolonialnej i domaga się równych praw dla wszystkich narodów. Polityka jego przeciwstawia się wszelkiej ingerencji mocarstw imperialistycznych do spraw wewnętrznych państw słabszych politycznie i gospodarczo. Tak było w okresie międzywojennym, kiedy dyplomacja radziecka stawała w obronie zagrożonych przez interwencję faszystowską Chin, Abisynii, Hiszpanii, Austrii i Czechosłowacji. Tak jest i obecnie, w chwili coraz dalszego uzależniania Europy zachodniej od USA, oraz coraz intensywniejszego narzucania ucisku kolonialnego narodom Azji i Afryki.

ZSRR przeciwstawia się zdecydowanie defetystycznej tezie, że przeciwstawność kapitalizmu i socjalizmu musi nieuniknienie doprowadzić do wojny. Podstawowa teza radziecka głosi możność i konieczność politycznej współpracy międzynarodowej, tzn. pokojowych stosunków politycznych i gospodarczych ze wszystkimi państwami, które rozumieją tę konieczność. Wystarczy zacytować liczne wypowiedzi Generalissimusa Stalina na ten temat, zawarte w jego rozmowach z Aleksandrem Westem, Elliotem Rooseveltem, ze Stassenem, Wallacem i Kingsbury Smithem.

Stałość i konsekwencja radzieckiej polityki zagranicznej występuje najbardziej jaskrawo w walce przeciwko wojnie zaborczej i jej podżegaczom. Poczynając od słynnego dekretu o pokoju z 8 listopada 1917 r., poprzez starania w Lidze Narodów (rok 1933) o traktatowe utrwalenie definicji agresora, aż do Ustawy o obronie pokoju z marca 1951 r. i ostatnich wysiłków ZSRR na terenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, linia polityki radzieckiej jest niezmienna.

Równolegle ze staraniami prawnego potępienia agresji idzie w parze troska o praktyczne jej uniemożliwienie. Znajdowało to wyraz w konkretnych propozycjach bądź całkowitego, bądź częściowego zakazu zbrojeń. Rząd radziecki występował z takimi propozycjami na Konferencji Genueńskiej na wiosnę 1922 r. i na Moskiewskiej Konferencji Rozbrojeniowej z udziałem Polski i państw bałtyckich w grudniu 1922 r. Ponownie wysuwał je w latach 1927 — 1928 na Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie. Po drugiej wojnie światowej zażądał znów powszechnego ograniczenia zbrojeń na Ogólnym Zgromadzeniu ONZ w październiku 1946 r. i ponowił propozycję przynajmniej częściowej redukcji zbrojeń na Zgromadzeniach Ogólnych ONZ w 1950 i 1951 r. Dobrze znane są wysiłki Związku Radzieckiego w sprawie zakazu używania broni atomowej i bakteriologicznej.

Obok konsekwencji w postępowaniu charakterystyczna cechą dyplomacji radzieckiej jest aktywność. Oto jak prof. Rubinstein charakteryzuje pod tym względem radziecką politykę zagraniczną: *„Nie staje ona nigdy w postawie pasywnej obrony, nie wyczekuje z założonymi rękami napaści... Dyplomacja radziecka zawsze naciera czynnie na wrogów kraju i obozu pokoju... Demaskuje ich nieustannie i oskarża. Wykrywa ich knowania i intrygi. Niezmiernie giętka i obrotna, dyplomacja radziecka pozostaje jednocześnie zawsze wierna podstawowym celom i czołowym zadaniom, których nie traci nigdy z oczu. Natrafiając na słabe miejsce i skazy w obozie przeciwnika, zadaje skuteczne ciosy, zawsze zachowując inicjatywę po swojej stronie".*

Jedną z największych zasług radzieckiej polityki zagranicznej jest ujawnienie hipokryzji, z jaką imperialiści pokrywają swe zaborcze plany za pomocą kłamliwej frazeologii. Już w 1918 r. rząd radziecki zdemaskował obłudę głośnych 14-u punktów Wilsona przysłaniających „pacyfizmem" i „bezinteresownością" zaborcze dążenia monopolistów amerykańskich. W taki sam sposób ujawnił on antyradzieckie zakusy ukrywające się w Układach Locarneńskich, w Planie Dawesa, w Pakcie Czterech i w umowie monachijskiej. Obecnie wszyscy wiedzą, jakie niebezpieczeństwo kryło się pod planem Marshalla i Paktem Atlantyckim, które początkowo przedstawiono obłudnie jako akcję „humanitarną" i „obronną".

Umiejętne polityczne ustawianie przez dyplomację radziecką sprzeczności wewnętrznych świata kapitalistycznego oddało już wielkie usługi sprawie pokoju. Prof. Rubinstein cytuje jako przykład wykorzystanie konkurencji wewnętrznej między mocarstwami zachodnimi w okresie tzw. interwencji antyradzieckiej w latach 1918 — 1920 oraz w przede dniu drugiej wojny światowej. Można do tego dodać wykorzystanie przez dyplomację radziecką dla sprawy pokoju i obrony młodego państwa radzieckiego istniejących antagonizmów między obozem zwycięzców i obozem zwyciężonych po pierwszej wojnie światowej, oraz paraliżowanie za pomocą tzw. polityki rapallskiej prób tworzenia zwartego frontu imperialistycznego. Później, w okresie dojścia do władzy Hitlera w Niemczech taką samą rolę grały wysiłki stworzenia tzw. Paktu Wschodniego i popieranie we Francji tendencji zabezpieczenia się przed zagrożeniem hitlerowskim, co znalazło swój wyraz w ówczesnych umowach radziecko-francuskich.

I dziś dyplomacja radziecka popiera istniejące w wielu krajach kapitalistycznych tendencje do rozszerzenia stosunków gospodarczych ze Związkiem Radzieckim i z krajami demokracji ludowej. Znalazło to jaskrawy oddźwięk na odbytej w kwietniu tego roku Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej w Moskwie.

DALSZĄ cechą radzieckiej polityki zagranicznej jest realizm. Klasyczną ilustracją tego był stosunek do Ligi Narodów. Jak wiadomo, twórcom jej przyświecała myśl stworzenia swego rodzaju nowego „Świętego Przymierza", gwarantującego układ polityczny, oparty na strukturze kapitalistycznej oraz zabezpieczającego zrealizowane przez zwycięską Ententę zyski. Tak pojęta Liga Narodów ostrzem swym zwrócona była przeciwko Związkowi Radzieckiemu jako czołowemu reprezentantowi obozu postępu. Pomimo tego ZSRR przystąpił w 1934 r. do Ligi Narodów, gdy zaistniały możliwości wykorzystania jej, chociażby w pewnej mierze, dla położenia tamy zarysowującej się wówczas agresji faszystowskiej (Japonia, Włochy, Niemcy). Podobnie realistyczny jest stosunek Związku Radzieckiego do Organizacji Narodów Zjednoczonych, którą dyplomacja radziecka wbrew usiłowaniom Waszyngtonu pragnie przekształcić zgodnie zresztą z jej istotnymi założeniami w skuteczną organizację międzynarodową, broniącą pokoju.

Ten realizm jest konsekwencją zawsze trzeźwego oceniania sił działających każdorazowo na arenie światowej. Awanturniczej polityce monopolistycznego kapitalizmu przeciwstawia się spokojna i opanowana postawa Związku Radzieckiego, oparta na analizie dróg rozwojowych współczesnego społeczeństwa ludzkiego. Rząd radziecki nie daje się sprowokować i zastraszyć za pomocą gróźb, popieranych butnym pobrzękiwaniem szabelką, ale jednocześnie z całą stanowczością broni suwerenności i honoru swego kraju, udzielając też kon sekwentnego poparcia swym sojusznikom.

Wytrwałość, z jaką Związek Radziecki prowadzi swą politykę zagraniczną, ma swe źródło w patrzeniu daleko naprzód i w nieuganianiu się za doraźnymi korzyściami, co jest tak znamienne dla różnych krótkowzrocznych polityków zachodnich.

Związek Radziecki liczy słusznie na nieuniknione zwycięstwo ruchów narodowo-wyzwoleńczych w krajach kolonialnych i zależnych. Podczas drugiej wojny światowej nie stracił z oczu faktu, że nie można identyfikować całego narodu niemieckiego z agresorami hitlerowskimi, wierząc, że lud niemiecki powinien i może zająć swe miejsce w wielkiej rodzinie pokojowych i budujących swą lepszą przyszłość narodów. Ostatnio, jeszcze w tym roku Związek Radziecki zamanifestował dobitnie swe głębokie współczucie w stosunku do narodu japońskiego z powodu niewoli, w której się on znalazł pod cudzoziemską okupacją oraz wiarę, że naród ten wywalczy sobie odrodzenie i niezależność swej ojczyzny.

Przyszłość należy do ludów zrywających pęta starego ustroju, a więc rząd radziecki broni niezłomnie ich praw i okazuje im szczodrą pomoc. Imperialiści starają się jednak cofnąć bieg historii i za pomocą nowej wojny chcą złamać narody, które wkroczyły na nową drogę swego rozwoju. Dlatego Związek Radziecki, prowadząc wytrwale politykę pokoju, z taką samą wytrwałością troszczy się o wzmocnienie obronności swego kraju, aby w razie konieczności odeprzeć agresora i ochronić obóz postępu społecznego od światoburczych zakusów monopolistów światowych. Zarówno przed drugą wojną światową, jak i obecnie Związek Radziecki przestrzega zasady, że żadne zaskoczenie ze strony wrogów nie powinno zastać pokojowego kraju w stanie nie przygotowania do obrony.

Ta polityka obrony pokoju, równouprawnienia i niezawisłości wszystkich narodów, polityka walki o postęp i demokrację, odpowiada bez reszty rzeczywistym interesom mas ludowych całego świata i to jest rękojmią jej skuteczności, a więc i ostatecznego zwycięstwa. Mając oparcie w takiej polityce Związku Radzieckiego, Polska Rzeczpospolita Ludowa może z ufnością patrzeć w przyszłość.

Michał Nowacki

*) „Woprosy Filosofii" zeszyt 1 z 1952 r. str. 43.

PRZEGLĄD PRASY

Jeszcze o „Przeglądzie kulturalnym"

PRZED paroma tygodniami pisaliśmy tutaj o pewnym zawodzie, jaki sprawiły pierwsze numery „Przeglądu Kulturalnego". Dziś poczuwamy się do miłego obowiązku uchylenia niektórych wówczas sformułowanych zastrzeżeń.

Numer 9 tego pisma zasługuje na gruntowne przestudiowanie. Otwiera go przedruk pełnego tekstu przemówienia Jakuba Bermana wygłoszonego na spotkaniu z wyborcami w Uniwersytecie Warszawskim. Zarówno temat przemówienia, dotyczący stosunku inteligencji polskiej do Frontu Narodowego jak i osoba mówcy, sprawiają, że udostępnienie go należy powitać z uznaniem.

Min. Berman mówił otwarcie o trudnościach, jakie musiała pokonać ogromna część inteligencji, aby wląc zyć się w nową rzeczywistość polską i stać się jej twórczym podmiotem. Mówca trafnie scharakteryzował jeszcze dziś występującą u naszej inteligencji postawę 19-wiecznego „społecznikostwa" i „kulturnictwa", które utrudniają wielu cennym i ideowym ludziom dostrzeżenie zachodzących w życiu zmian i pojmowanie współczesnej roli klasy robotniczej w budowaniu nowych form życia zbiorowego.

Jeśli te trudności zostały przełamane, to stało się to przede wszystkim dzięki realnym osiągnięciom Polski Ludowej, które są argumentem nie do odparcia i które z każdym rokiem potwierdzają słuszność obranej drogi politycznej.

Jakub Berman mówił dalej wyraźnie, że jego zdaniem tylko marksizm-leninizm daje klucz do odkrycia praw rządzących rozwojem społeczeństwa. Podkreślił jednak z całym naciskiem, że zarówno dla tych, którzy podzielają to przekonanie, jak i dla ludzi o odmiennym światopoglądzie JEST MIEJSCE WE FRONCIE NARODOWYM, JEŚLI TYLKO WNOSZĄ SWÓJ WKŁAD DO BUDOWY NOWEGO ŻYCIA.

Przemówienie zawiera szereg cennych danych charakteryzujących żywiołowy rozwój życia kulturalnego u nas i w Republikach Związku Radzieckiego oraz kreśli porywającą wizję przyszłości, jaką ostatnio przed stawił Józef Stalin w związku z problematyką przejścia do komunizmu.

NIE CHCEMY — ciągnął Min. Berman — BYNAJMNIEJ BAGATELIZOWAĆ TRUDNOŚCI I KŁOPOTÓW DNIA CODZIENNEGO, BĘDZIEMY JE Z CAŁĄ PASJĄ PRZEŁAMYWAĆ I USUWAĆ, ALE GDYBY ONE KOMUKOLWIEK PRZESŁONIŁY NASZĄ DROGĘ I NASZĄ RACJĘ BYŁOBY TO DOWODEM MAŁODUSZNOŚCI.

W reszcie numeru również nie brak pozycji ciekawych, udatnie zestawionych w różnorodną całość. Są tam reprezentowane problemy wszystkich dziedzin sztuki.

W dziale plastyki znajdujemy ciekawe omówienie wybitnej działalności ilustratorskiej Jana Marcina Szancera. Obok tego zamieszczona została krótka (zbyt krótka może jak na zakres problematyki) sylwetka Jean Lurçat pióra Francis Cremieux. Artykuł ten porusza sprawy, które wiążą się nierozdzielnie z nazwiskiem wybitnego artysty francuskiego. Przede wszystkim: odrodzenie artystycznej tkaniny francuskiej oraz problem zainteresowania artystów współczesnych ceramiką. Oba te zagadnienia prowadzą myśl ku zbliżeniu sztuki współczesnej i rzemiosła. Niestety artykulik Cremieux tylko pobieżnie wspomina o tym problemie, nie rozwijając go szerzej.

W dalszej części numeru znajdujemy artykuł o przeszłości i współczesności architektonicznej Lublina. Z dziedziny muzyki — krytyczny przegląd wysłuchanych przez uczestników Zjazdu Koła Młodych Związku Kompozytorów Polskich utworów najmłodszych naszych twórców.

Warto zanotować tu jeszcze pożyteczny artykuł Jerzego Broszkiewicza pt. „Zadania naszego filmu". Dobrze wprowadza on czytelnika zarówno w szerokie perspektywy rozwoju jak i trudności stojące przed polską kinematografią. Apel o szerszą dyskusję nad problemami scenariopisarstwa jest poparty stroną informacyjną artykułu, która szerszy krąg zainteresowanych zbliża do tych problemów. Poza tym omawiany numer zawiera recenzję z filmu „Na kalkuckim bruku" dającą również sporo informacji o mało u nas znanej kinematografii hinduskiej.

Tak więc wraz z recenzją teatralną z „Kąkolu i pszenicy" Łomnickiego w numerze reprezentowane są wszystkie dziedziny sztuk; wszystkie niemal są uzupełniane przez notki kronikarskie dające sporo materiału informacyjnego.

Stosunkowo może najsłabiej wypadły migawki reportażowe pt. „Spotkania" poruszające tematykę wyborczą. Sposób ujęcia nie zaspakaja w pełni słusznych wymagań artystycznych stawianych reportażowi, który powinien stać się dziś pełnowartościowym rodzajem literackim. Nie będzie krzywdzące stwierdzenie, że w prasie codziennej czytaliśmy często lepsze reportaże poświęcone temu tematowi.

Wydaje się, że właśnie „Przegląd Kulturalny" powołany jest specjalnie do kultywowania tego gatunku literackiego, któremu czasy współczesne wyznaczają doniosłe zadania, a który poza wyjątkami pozostawia jeszcze wiele do życzenia.

Całość numeru „Przeglądu Kulturalnego" wraz z niewspomnianymi tu z braku miejsca artykułami przedstawia się interesująco i treściowo różnorodnie, co daje asumpt do wniosku, że pismo to odnajduje własną drogę. Jesteśmy przekonani że każdy nowy numer przyniesie dalszy krok naprzód i dalsze wzbogacenie treści oraz form jej wyrażania.

(aka)

Jan STANISŁAWSKI

HRABIOWIE I GOŁOTA

SERIA nowo odkrytych i pierwszy raz publikowanych pamiętników galicyjskich (Łętowski, Chłędowski) powiększona została o jeszcze jedną, może najbardziej rewelacyjną pozycję. Jest nią „Pamiętnik zdeklasowanego szlachcica“ Seweryna Łusakowskiego,* wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Dystrybucja działa powoli i przez to książka jest trudno dostępna, toteż przed szczegółowym omówieniem należy pokrótce streścić ją czytelnikowi artykułu.

KOLEJE ŻYCIA SEWERYNA ŁUSAKOWSKIEGO

URODZIŁ się Seweryn Łusakowski w roku 1823 w Galicji, w okolicy Mościsk w domu szlacheckim. Ojciec autora pochodził z warstwy średnio ziemiańskiej; będąc synem dość licznej rodziny, zamierzał dorobić się własnego folwarku chodząc dzierżawami. Matka Seweryna była Leokadią z Charczewskich. O Łusakowskich głucho było w dziejach krajowych i powiatowych nawet, darmo by szukać ich nazwiska w almanachach, Charczewscy natomiast posiadali w XVIII-ym wieku paru mniejszych senatorów w rodzie, a niedawne ich spokrewnienie się z Krasickimi podniosło rodowe splendory. Małżeństwo nie było szczęśliwe a brak harmonii przyśpieszał ruinę majątkową, przypieczętowaną uwięzieniem ojca za udział w konspiracji Związku Demokratyczno-Wojskowego w roku 1838. Rodzina upadła ostatecznie. Matka zostaje na łaskawym chlebie swych kuzynów, dzieci rozbiegają się po świecie a kilkunastoletni Seweryn wysłany zostaje do ciotki. Ta jednak nie chcąc się nim zajmować oddaje go do Medyki Pawlikowskich na naukę ogrodnictwa. Jest to dla autora pamiętników moment decydujący — całe życie będzie ogrodnikiem.

Łusakowski przebywa w Medyce kilka lat, w niesłychanie ciężkich warunkach, przy pracy przekraczającej siły słabego jeszcze wyrostka, bez pensji, za marne i niewystarczające życie. *„Ale ten chleb był łzami i krwią obmyty, bo ten pan Gwalbert Pawlikowski był to pierwszy despota, ogromny tyran na swoich oficjalistów i sług. Obdzierał ze skóry winnego i niewinnego. Bił bez miłosierdzia swoją kutą pałką oficjalistów, nawet wyższych. Był to szatan, który chodził ciągle z pałką i zazierał, żeby kogo złapać i bić pałką nieodstępną go na krok. Nie tylko bił mężczyzn, ale i kobiety, i panny swej żony, i swych sekretarzy, i rządców nawet“.* Po pięciu latach nauki zwalnia się dwudziestoletni blisko Seweryn z Medyki i dostaje posadę we Lwowie u arcyksięcia Ferdynanda d'Este, gubernatora Galicji.

Nie długo zagrzał miejsca na dobrej posadzie, porywa go demokratyczna i narodowa działalność konspiracyjna. W roku 1845 z ramienia organizacji udaje się w tarnowskie, zostaje parobkiem i prowadzi działalność propagandową wśród chłopów. *„Słuchali chłopkowie naszej gawendy, jak to dawniej było w Polsce, jakby teraz było, gdyby Niemców nie było — słuchali, głowami kręcili, przyznawali czasem, co trafiło do ich przekonania, ale najczęściej mówili: — nie wierz panu, bo on dziś obieca, a jutro odbiera...“*

W latach 1846-48 pracuje jako ogrodnik u niedawno kreowanego galicyjskiego arystokraty. Warunki głodowe, traktowanie poniżające, praca ciężka. W roku 1848 jest już żonaty, w chwili wybuchu rewolucji umiera mu żona w połogu. Zostawia dziecko u teściowej, sam wyjeżdża do Lwowa. W szeregach Gwardii Narodowej przeżywa bombardowanie miasta przez Hammersteina a po upadku rewolucji udaje się w Karpaty do partyzantki działającej przeciw austriackim transportom zaopatrującym armię, która tłumiła powstanie na Węgrzech.

PO upadku powstania węgierskiego zaczyna się wędrówka po dworach i pałacach w poszukiwaniu zajęcia. Znajduje wreszcie spokojny kąt, sprowadza rodzinę, ale wtedy właśnie nadchodzi fala prześladowań rewolucjonistów polskich. Łusakowski zagrożony wydaniem w ręce policji decyduje się na emigrację. W roku 1850 przekracza granicę austriacko-rosyjską i osiedla się na Podolu, gdzie w dalszym ciągu służy jako ogrodnik w dworach ziemiańskich. Pamiętnik urywa się w połowie lat pięćdziesiątych z chwilą objęcia nowej posady u Sobańskich w Spiczyńcach. Dalsze losy autora, znane są tylko z relacji wnuków.

DOKUMENT EPOKI

PRZYZWYCZAJENI jesteśmy na ogół do pamiętników zwanych dosyć niejasno historycznymi, od których oczekujemy dostarczenia nam materiałów zazwyczaj dotyczących bądź historii politycznej, bądź historii kultury. Są one cennym przyczynkiem do poznania dziejów i konfrontowane z innymi przekazami wyjaśniają nieraz wiele wątpliwości i zapełniają nasze luki w wiedzy o przeszłości. Czy więc pamiętnik pozostawiony nam przez Łusakowskiego jest pamiętnikiem w tym rodzaju? Otóż nie!

Łusakowski nie był wielkim działaczem politycznym — był jednym z tłumu, który czynnie wprawdzie, ale otarł się tylko o wielki prąd Wiosny Ludów. Nie znał głównych aktorów wydarzeń, nie miał w ręku nitek poruszających tłumy do wystąpienia, nie dokonał wreszcie żadnego czynu bohaterskiego, który by go spośród tysięcy uczestników ruchu wyróżnił i pozwolił dostrzec to, co niewidoczne było dla innych mu współczesnych. Pisze na ogół o rzeczach pełniej i dokładniej znanych z innych źródeł, pisze o nich z pozycji szeregowca i główna wartość opisu ma charakter w dużej mierze literacki: jest nią niewątpliwy autentyzm przeżycia.

Autor pamiętnika był bowiem „literatem“. Stłumione warunkami życiowymi jakieś perwociny uzdolnień pisarskich przebijają wyraźnie z kart książki. Łusakowski to — toutes proportions gardées — dziewiętnastowieczny prototyp Lucjana Rudnickiego. Obydwaj napisali dzieło kompozycyjnie zamknięte przebiegiem własnego życia, obydwaj byli odtwórcami rzeczywistości, tej obiektywnie istniejącej, złożonej z wydarzeń autentycznych, obydwaj wreszcie byli w obozie walki i pisarstwo swoje prowadzili „na emeryturze“. Oczywiście — Rudnicki to pisarz rasowy, talent z Bożej łaski, który własnym wysiłkiem dorobił się koniecznego do takiego poziomu zasobu kultury, podczas gdy Łusakowskiemu tego wszystkiego, co nazywamy kulturą literacką brak, męczy się nawet ze składnią. Ale Łusakowski posiada pasję pozwalającą uznać go za literata, pasję oddawania życia w całej jego zindywidualizowanej złożoności, co przy autentyzmie przeżyć współdecyduje o niezafałszowaniu realizmu.

Jednak ta literackość w odniesieniu do pamiętnika jako do źródła historycznego jest powodem do zaostrzenia czujności. Rudnicki pisząc „Stare i nowe“ nie precyzował bliżej — celowo oczywiście — czy utwór ten jest powieścią autobiograficzną, czy sensu stricto pamiętnikiem. Łusakowski pisze pamiętnik, ale czy nie mamy prawa podejrzewać go o pewne literackie odchylenia kwalifikujące jego dzieło jako powieść? Historyk znajdzie tu wiele materiału do zakwestionowania. W książce mowa jest nawet o wydarzeniach dużych, historykom zupełnie nieznanych. Takim jest partyzantka karpacka i bitwa pod Dynowem. Ciekawe zresztą, że znajdujemy w tekście pamiętnika nieliczne wyraźne wpływy XIX-owiecznej beletrystyki.

A może jest pamiętnik Łusakowskiego dokumentem obyczajowym? Czytamy we wstępie, pióra Niny Assorodobraj: *„...bogaty jest także w materiał obyczajowy najcenniejszy w opisach stylu życia arystokracji galicyjskiej... Spoza luksusu i wspaniałości życia arystokratów Łusakowski wydobywa fakty dnia powszedniego; wyziera z nich okrucieństwo, straszliwy egoizm klasowy, demoralizacja doprowadzona do patologicznych niemal fanaberii, szczególnie u kobiet z arystokracji. Niewiele mamy w naszej literaturze pamiętnikarskiej, kształtowanej pod presją snobizmu i podziwu dla wspaniałego życia wyższej arystokracji, opisów realistycznych, wydobywających cechy jaskrawego rozkładu warstwy zainteresowanej w zakonserwowaniu ustroju feudalnego w Polsce“.* To wszystko prawda. Jednakże odnośnie obyczajowości znajdziemy tu rzeczy oburzające, wzruszające, pobudzające do uśmiechu — ale nie nowe.

Pamiętnik Łusakowskiego jest przede wszystkim dokumentem społeczno-psychologicznym a literackość jego i subiektywizm, to, co komplikuje czytelność przekazów stricto sensu historycznych i obyczajowych, w tym wypadku jest zaletą. Jest to dokument psychologiczny nie jednostkowy jednak, lecz społeczny — wynika to z typowych dla czasów i warstwy losów jego autora i wyraźnie przejawia się w doznawaniu przez niego zjawisk społecznych w kategoriach nie tylko indywidualistycznych, lecz i grupowych. *„Nie wiem, czy piekło mogło wymyślić coś niższego, boleśniejszego, ile my, maluczcy* (zdeklasowana szlachta) *w tych czasach znieść musieli od rządu i od starszych naszych braci, JW Panów“. „Wy szlachtę zgubili, panowie“* — czytamy na innym miejscu.

Typowość losów Łusakowskiego polega na jego deklasacji. Warstwa szlachecka była silna w ustroju feudalnym, przy dosyć ustabilizowanych warunkach gospodarczych. W rozwijającym się kapitalizmie, którego jedną z istotnych cech jest niepewność rynku oraz konieczność posiadania kapitału finansowego dla celów produkcji (nawet przed uwłaszczeniem), szlacheckie ziemiaństwo — niezależnie od wydarzeń politycznych — napotyka na duże trudności, przechodzi kryzysy i w wielu wypadkach, tak licznych, że możemy mówić o nich jako o zjawisku masowym, deklasuje się. W warunkach galicyjskich proces ten zaczął się wcześniej niż w Królestwie i już w pierwszej połowie XIX-ego wieku znaczna ilość szlachty skutkiem bankructw finansowych skarbu państwa i t.zw. kryzysu kartoflanego (niezależnie od innych, specjalnie galicyjskich okoliczności) została wyzuta z majątku. Konspiracja Łusakowskiego — ojca i jego uwięzienie przyśpieszyło zapewne katastrofę rodziny, ale jej nie spowodowało; była ona i tak nieunikniona.

BIEDA I LOKAJE W LIBERII

„...dlaczego u nas, czyli moich rodziców, była nędza, rozwiązać tego na pewno nie umiem, ale że była nędza i bieda, to pewna... była klucznica, pani Szklanowska, był kucharz, Miszuta, był lokaj, Henryk, i wiele sług... była guwernantka do sióstr, panna Miączyńska... było także dwóch rezydentów... święta były zawsze sute... ja pamiętam jeszcze świetne czasy w Lulkowie, kiedy byli lokaje w liberii, panny, kucharze... kozaczek woził nas na wózku ładnym...“

Mały dzierżawca mający zamiar dorobić się własnej fortunki nie potrafił zrezygnować z pańskości, mającej postawić go na równej stopie z zamożnym ziemiaństwem i arystokracją. W szczególnym wypadku Łusakowskich wzmocnione jest to jeszcze pochodzeniem rodziny matki i jaśnie wielmożnymi kuzynostwami. Motorem rodzinnej, typowej wówczas, polityki „zastaw się a postaw się“ jest staroszlachecka ideologiczna wartość równości niesłychanie silnie wkorzeniona i oddziaływająca również w dziedzinie obyczajowo-gospodarczej. Wartość tę odnajdujemy

* Seweryn Łusakowski „Pamiętnik zdeklasowanego szlachcica“ Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1952, str 311

Ludzie i naród

(Dokończenie ze str. 3)

względnością przez Nowosilcowa. Gdy w noc listopadową nurt społeczny, rewolucyjny rozsadził fikcję Królestwa Polskiego, rewolucji zabrakło wodzów, gdyż ci zgrupowali się wokół Rady Administracyjnej pod kierunkiem Lubeckiego i paktowali z Konstantym, a rewolucja nie odważyła się wysunąć na czoło postaci mało znanych narodowi. Wstrząsające są szczegóły paktowania z Konstantym jak z W. Księciem, a nie jak z jeńcem rewolucji (wypuszczenie Konstantego wolno wraz z wojskiem i uwięzionym Walerianem Łukasińskim nastąpiło na mocy konwencji zawartej w Wierzbnie między W. Księciem i delegowanymi z Rady Administracyjnej — Lubeckim, Czartoryskim i Lelewelem (!) dnia 2.12.1830 r.).

Ten brak zdecydowania autorów nocy listopadowej umożliwił Lubeckiemu sprowadzenie „niebezpiecznej dla porządku i własności prywatnej“ rewolucji na tory kontrrewolucji, przekreślając dalszy rozwój rewolucji i jej widoki na pewne zwycięstwo. Najlepiej uzbrojona rewolucja polska została zmarnowana przez dopuszczenie do władzy najbardziej szkodliwych dla sprawy ludzi „popularnych“. Pod wpływem koncepcji Lubeckiego — *„niech występuje Mikołaj król polski przeciwko Mikołajowi carowi rosyjskiemu“* na sesji Sejmu w dniu 25 stycznia 1831 r. Lelewel mówi:

...Przy rozpoczęciu pamiętnej rewolucji 29 listopada, Mikołaj był jeszcze królem polskim. Rada Administracyjna na pierwszy odgłos powstania czynna się stała. Rząd pierwszej niejako nocy przystąpił do rewolucji, ale w imieniu króla polskiego (a zatem cara — dopisek mój).

...Było wtenczas tajemnicą, czy rewolucja jest narodowa, a tym bardziej czyli przejdzie za granice Królestwa: jej twórcy nie nieśli żadnego środka do objaśnienia swej myśli (jak wiadomo, w myśl utartych wyobrażeń, noc listopadowa i jej autorzy byli pod auspicjami Lelewela! — dopisek mój). *Rząd więc musiał dopiero zyskiwać rewolucję.*

...Nie wiem, czy dobrze czy źle się stało, że dawny rząd pozostał, że z pierwszą chwilą powstania nie utworzył się nowy zupełnie rewolucyjny, to atoli pewna, że zrewolucjonizowanie rządu, do pewnego stopnia, ułatwiało rozwinięcie rewolucji...“

Zatem sam Lelewel uznał swoje wejście do carskiej, skrajnie kontrrewolucyjnej Rady Administracyjnej za „zrewolucjonizowanie rządu“, choć zastrzega, że tylko „do pewnego stopnia“. Jaki to był stopień, pokazał dalszy rozwój historii...

*

TAK już jest, że społeczeństwo z łatwością zapomina popełnione na nim zbrodnie i niechętnie analizuje nauki, jakie daje mu historia. Niechętnie grzebiemy w swoim społecznym sumieniu i lubimy tkwić na wygodnych pozycjach poczucia braku współodpowiedzialności za bieg historii, której coraz bardziej każdy członek społeczności staje się współtwórcą. Wielokrotnie gubiły już nas te pozycje bierności, nieuctwa historycznego i braku sprecyzowanego poglądu na rzeczywiste przyczyny i skutki rozwoju dziejowego naszego kraju.

Maurycy Mochnacki z kontrastu między nicością tych reprezentantów lub ich słabością, a wielkością sprawy, jaka znalazła się w ich rękach — wysuwa z uderzającą trafnością, grozą wstrząsającą słowem o sile gromu i jasności błyskawicy — wielki dramat narodowy. Trudno powiedzieć, czy kto przed nim pisał o Polsce tak groźnie i wspaniale, a zarazem serdecznie i smutno.

Potem napisze Wyspiański:

„...Orły, kosy, szable, godła,
Pany, chłopy, chłopy, pany,
Cały świat zaczarowany,
Wszystko była maska podła“...

Wiedza o dziejach naszego narodu uczy o nierozerwalności sprawy niepodległości i wyzwolenia społecznego. Wydaje mi się, że sprawa stosunku Mochnackiego do rewolucji i kontrrewolucji listopadowej jest sprawą bliską każdemu i wartą głębszego zastanowienia.

Tomasz Zaniec

także na dnie postawy już zdeklasowanej. Wartość równości nie ma już w warunkach deklasacji charakteru normatywnego, szlachcic-ogrodnik, szlachcic-ekonom, szlachcic-leśniczy nie mogą oczekiwać od ziemianina postawy aprobującej wzajemną równość, nie mają także możności postawy takiej wyegzekwować (co możliwe było w rzeczpospolitej szlacheckiej) ale z wartości równości nie rezygnują. Osiągnięcie równości staje się celem dążeń zdeklasowanej szlachty, dążeń tym silniejszych, że przedmiot starań znany jest szlachcie dobrze i utracony został bardzo niedawno, często dopiero w obecnym pokoleniu. Wyzysk, na który zdeklasowana szlachta została skazana (*„szlachcic-panek przywłaszczał sobie szlachcica-biedaka i orał nim jak wołem"*) i pamięć lepszej przeszłości to jeden z powodów, dla których tak licznie dołączała ona do demokratycznych, antyarystokratycznych szeregów rewolucyjnych. Niezmiernie charakterystyczny jest fakt, że w pamiętniku Łusakowskiego znacznie więcej cierpkich, lub wyraźnie oskarżających słów poświęcono galicyjskim panom i pankom niż Austriakom, więcej mowy jest o krzywdzie społecznej, niż o krzywdzie narodowej.

W GRANICACH SZLACHECKIEGO PUNKTU WIDZENIA

ALE widzenie krzywdy społecznej występuje u Łusakowskiego wyłącznie z pozycji szlacheckiej. *„Każdy taki pan ekonom pobierał za swą pracę dzień i noc najwyżej trzysta złotych polskich, co czyni czterdzieści pięć rubli srebrem dzisiejszych, mieszkanie i ordynarię. Wielu miało dzieci i te dzieci o własnych siłach kształcić musieli, bo nikt o to nie pytał, czy jest czym dzieci uczyć lub nie i czy uczą się dzieci lub nie. A jednak ta szlachta, ci ekonomowie, leśniczowie, pisarze, gorzelniki, piwowary była to prawdziwa szlachta, spadła z majątków, pracowała dla tych panków, pilnowała ich dobra, nastawiała swego łba, i przed chłopem i przed rządem, była gotowa i czynna we wszystkich ruchach krajowych, kładła swoje mizerne mieńko i krew na ołtarzu Ojczyzny"*. Jednocześnie jednak niemal w jednym zdaniu czytamy: *„Chłopi ojca kochali, bo ich bardzo podpierał, płacił za nie podatki itp., i odrabiali pańszczyznę ochotnie i gorliwie... ten Jaśko* (fornal) *strasznie był bity przez ojca i to często"*. Gdy Łusakowski pisze o chłopach charakterystyczna jest sprzeczność zachodząca między jego oceną a realistycznym opisem. Sprzeczności tej nie ma, gdy mowa o zdeklasowanej szlachcie, nie dlatego, by autor znał lepiej życie własnej warstwy od życia chłopskiego, lecz dlatego, że jego myślenie i horyzonty społeczne ograniczone są jeszcze silnymi reliktami ideologii stanowej. Trzeba mu jednak przyznać, że cieszy się ze zniesienia pańszczyzny.

Wartość wolności w epoce otrząsania ostatnich więzów feudalizmu była na ogół interpretowana w kategoriach przede wszystkim narodowych, a wolność społeczna, wolność od ucisku ekonomicznego miała być środkiem do uzyskania tej pierwszej. (Nie znaczy to by nie występowały odosobnione poglądy bardziej współczesne). Gdy u Łusakowskiego znajdujemy więcej haseł społeczno-wolnościowych (szlacheckich) to wynika to z jego szczególnie smutnego życiorysu i wydaje się dla warstwy radykalizującej szlachty mniej typowe — ta chętnie operowała hasłami narodowymi.

Czy te hasła narodowe kryły w sobie treści stanowe? Łatwo się zorientować, że mimo całego demokratyzmu Łusakowski jest pur sang szlachcicem. Czy wolno na przykładzie Łusakowskiego podejrzewać całą zdeklasowaną szlachtę, że akces jej do ruchu Wiosny Ludów mimo demokratycznych haseł był wyrazem tendencji nawrotowych do dawnej, lub zbliżonej, lepszej a uprzywilejowanej pozycji społecznej? Czytamy we wstępie N. Assorodobraj: *„hrabiowie galicyjscy rządzili krajem, a masa szalchecka mogła widzieć dla siebie przyszłość w zbrataniu się z ludem, w zajęciu kierowniczego stanowiska w ruchach demokratycznych, w wykorzystywaniu rewolucyjnych ruchów mas wyzyskiwanych dla zdobycia sobie miejsca w nowym społeczeństwie"*. I dalej: *„chłopski ruch rewolucyjny miał odegrać rolę fali, która by wyniosła tę kategorię sproletaryzowanej szlachty"*. Autorka stwierdza tu, że ruchy demokratyczne przedstawiały się dla zdeklasowanej szlachty atrakcyjnie, co jest dla czytelnika pamiętników Łusakowskiego oczywiste. Akces drobnej szlachty do rewolucji nie był podyktowany jednak wyłącznie uświadamianymi motywami interesu stanowego. Istotnie, rewolucja działała na rzecz zdeklasowanej szlachty i jednostkom spośród niej pozwalała się wydźwignąć na wyższy stopień społeczny. Nie przesądza to jednak w całości o jej stosunku do rewolucji. Zapewne, gdyby rewolucja się powiodła i piwowarzy, gorzelnicy, ekonomowie zostaliby w jakiś sposób posiadaczami dóbr ziemskich, to rozwój ich pojęć społecznych uległby nagłemu zahamowaniu a może i regresji, ale trudno tym spośród nich, którzy stali się rewolucjonistami odmówić subiektywnej szczerości w odczuwaniu problemów społecznych.

Pokolenie Łusakowskiego to pierwsze pokolenie poziemiańskie, szlachecko-feudalne treści są w nim jeszcze bardzo żywe. Sewerynowie Łusakowscy czują się jeszcze szlachtą, choć sytuacja materialna zmusza ich coraz bardziej do wychodzenia z kręgu klasowego punktu widzenia szlachty. Znaczenie pamiętnika Łusakowskiego polega na tym, że jest on dokumentem psychologicznym, wiernie świadczącym o przełamywaniu się w świadomości piszącego — i jemu współczesnych — elementów ideologicznych starych i nowych. Synowie i wnukowie Sewerynów Łusakowskich będą w coraz większym stopniu żyli treściami nowymi, a w coraz mniejszym szlachecko-feudalnymi. Będą dzieliły ich różne przegrody klasowe, ale typ myślenia będzie w zasadzie jednolity, taki jaki je urobiła konsekwentna w swym ciągu rozwojowym epoka kapitalizmu. Dokumentów podobnie rewelacyjnych oczekiwać możemy dopiero od pokolenia nam współczesnego, żyjącego również na pograniczu dwóch epok. Porównanie Łusakowskiego z Rudnickim nie było podyktowane jedynie względami formalnymi.

Jan Stanisławski

SPROSTOWANIA

Nadgorliwości zecera i nieuwadze korektora przypisać należy niefortunną zmianę słów w sprawozdaniu z „Zeszytów Wrocławskich" („Dz. i J." Nr 44), która w sposób sprzeczny z naszymi intencjami wypaczyła sens dwóch zdań. W szpalcie 1, wiersz 14 od dołu — zamiast: ANALIZĄ powinno być: ALUZJĄ; w szpalcie 2, wiersz 24 od dołu — zamiast: SPRZEDAJĄC napisano w oryginale: SPRZECIWIAJĄC.

* * *

W numerze 47 (365) z dnia 23 listopada naszego tygodnika zaszła przykra pomyłka, którą niniejszym prostujemy. W artykule T. Zańca p.t. „Rewolucja i kontrrewolucja w powstaniu listopadowym" przestawiono w drukarni zdjęcia Joachima Lelewela na miejsce zdjęcia Adama Czartoryskiego. Za tę przykrą pomyłkę przepraszamy Autora i Czytelników.

* * *

W noweli Alfreda Gerarda „Benefis życia" część I, w szpalcie siódmej, w wierszu czwartym od góry zamiast: „kołysała się niemal bezwzględnie" powinno być „kołysała się niemal bezwiednie", co niniejszym prostujemy

O moralność małżeństw

Dokończenie ze str. 4

gię na tory duchowe, podsycając siłę miłości i sprzyjając przez to przenoszeniu miłości małżeńskiej na wyższy poziom, czyli bogacąc małżonków w cnocie miłości. Pomijając to, że stosowanie sztucznych środków antykoncepcyjnych, jako nienaturalne, jest grzechem przeciwko naturze, a wobec tego z konieczności zawsze w mniejszym, lub większym stopniu odbija się na zdrowiu, środki te zakłócają naturalną swobodę aktu płciowego, zmuszając do pamiętania w tej chwili o innych rzeczach niż wzajemna miłość i bliskość. A „dobry post" w dziedzinie seksualnej też należy do składników koniecznych cnoty czystości — i człowiek prawdziwie czysty woli zawsze zrezygnować ze zbliżenia płciowego, niż zdecydować się na zbliżenie „kalekie".

ALE nie tylko nagminne używanie środków antykoncepcyjnych jest bolączką moralną małżeństw nowoczesnych. Przerwanie niepożądanej ciąży jest . . zjawiskiem pospolitym. Zdarzają się nierzadko kobiety zgłaszające się do lekarzy z propozycją „skasowania" ich ciąży, z taką beztroską i lekkością, jakby prosiły konduktora o skasowanie przejazdu na bilecie tramwajowym. Świadczy to o zupełnym braku zdawania sobie sprawy z istoty tego czynu.

Tymczasem zgodnie z nauką Kościoła człowiek z duszą i ciałem powstaje już z chwilą poczęcia. Wielu nie może tego pojąć, sądząc, że dusza ludzka musi być *aktualnie* świadoma, aby móc mówić o jej istnieniu. Tak jednak nie jest. Noworodek również nie myśli, a jednak uważamy go za człowieka — i płód pod tym względem nie różni się od noworodka. Kto zaistniał, zaistniał z wiedzą i wolą Bożą i nie „odstanie" się, bo wyroki Boże są nieodwołalne. Jeśli zabijemy płód, to on się nie urodzi, ale nie przestanie istnieć. I dusza jego, będąc ze swej natury duszą ludzką — a więc rozumną i nieśmiertelną otrzyma poza grobem rozum, którego tu jeszcze używać nie mogła z powodu braku wykształcenia się cielesnych „narządów myślenia". Będąc złączoną z ciałem podczas nieziemskiego „okresu próby" przed życiem wiecznym, które dopiero jest życiem właściwym, myśli z woli Bożej przy pomocy narządów ciała — ale istniejąc samoistnie, bez ciała, myśli jak duch — analogicznie do anioła. Dlatego też nie myśl stanowi kryterium istnienia duszy — gdyby tak było, można by zabijać nierozumne jeszcze dziecko, tak samo, jak zwierzę.

Kryterium istnienia człowieka stanowi jego pełna zdolność do życia i rozwoju jako odrębnego organizmu — a ta zdolność istnieje od chwili zapłodnienia. Łono matki stanowi tylko środowisko niezbędne do prawidłowego rozwoju płodu — ale któż wie, czy nauka nie pójdzie tak daleko, że zdoła takie środowisko stworzyć sztucznie? Płód nie jest absolutnie częścią ciała matki — jest odrębnym tworem, rozwijającym się samodzielnie. Dlatego też przerwanie ciąży jest po prostu zabójstwem. Zabójstwem tym gorszym, że dokonanym na człowieku niewinnym i bezbronnym i na dziecku przez matkę, czy oboje z rodziców, gdyż i ojciec, który się na to zgadza, musi być uważanym za współwinnego. A tymczasem właśnie na rodzicach ciąży obowiązek dania dziecku wszystkiego, co mogą dać najlepszego.

Małżonkowie nie tyle mają dzieci, ile urodzą — ale tyle, ile poczęli. I powinni się zdobyć na tę „nadprzyrodzoną wyobraźnię" aby móc ujrzeć w myśli te dzieci, którym odmówili prawa do życia. Czy tylko do życia? Otóż — katolik musi pamiętać, że tu chodzi o sprawę znacznie głębszą. W świetle wiary życie doczesne jest tylko próbą — czy wybierzemy Boga na wieczność z miłości, czy zamknąwszy się w miłości własnej, pozostaniemy samotni, bez Boga. Jesteśmy społecznością żywych i odpowiadamy nie tylko za siebie, ale i za tych wszystkich, którym w jakikolwiek sposób utrudniamy dobro, czy ułatwiamy zło. A już szczególnie odpowiadamy za tych, co z własnej woli jeszcze korzystać nie mogą. Wszystkich odkupił Chrystus — i jeśli przez chrzest włączymy nieświadomych do uczestnictwa w Jego zasługach, rozstrzygamy tym samym naszą dobrą wolę pracy na ich korzyść. Zmywamy z nich grzech pierworodny, a ponieważ osobistych nie mają, więc czynimy ich świętymi i miłymi Bogu, otwierając im niebo. Ale płód, zabity przed urodzeniem, ochrzczony być nie może — a zatem ginie w grzechu pierworodnym i nie może być zbawionym. Czyli, zabijając płód w łonie matki zabija się *niewinnego* człowieka z duszą i z ciałem, na całą wieczność zamyka mu się drogę do prawdziwego szczęścia, i to robią dziecku właśni rodzice. Dlatego też ujrzawszy, czym jest taki czyn w swej istocie, trudno się dziwić, że Kościół ogłasza go za zbrodnię wołającą o pomstę do nieba a więc najcięższą i niczym nie usprawiedliwioną.

W świetle moralności chrześcijańskiej *nic* nie usprawiedliwia takiego czynu. — Nauka moralna Kościoła nie uznaje również tzw. „wskazań do przerywania ciąży". Jakto, więc kobieta, dla której ciąża jest śmiertelnym niebezpieczeństwem, ma się za nie narazić, dla dziecka, którego jeszcze wcale nie zna — pyta niejeden, kto przeczyta te słowa. Nie. Katolicyzm wcale nie przeczy, że ciąża pogarsza wiele chorób. Ale twierdzi, że kobieta, która wie o tym, że jest chora i że ciąża jest dla niej niebezpieczna, jak również i jej mąż, powinni być na tyle ostrożni i roztropni, aby się *nie narażać na taką ciążę*. A jeśli mimo wszystko dojdzie do ciąży, to trudno. Kobieta w ciąży ma obowiązek urodzenia dziecka bez względu na trudności i niebezpieczeństwa. Zwłaszcza, że nigdy prawie nie ma takiej sytuacji, żeby śmierć matki w ciąży była pewna z ciążą, a pozbawienie ciąży zapewniałoby życie. I cóż warte życie okupione śmiercią dziecka, i obarczeniem duszy zbrodnią? Zbrodnią zabijającą duszę w oczach Boga, jedynego sędziego, którego wyrok jest ostateczny i nieodwołalny? Jakże byśmy zabiegali o łaski takiego sędziego, gdybyśmy go widzieli na świecie. Więc uczmy się oglądać Go oczyma duszy, a na pewno nie pożałujemy tego w przyszłości, kiedy rzeczywiście i konkretnie staniemy z Nim twarzą w twarz. I nauczywszy się tego, poznamy jasno, że nie wolno umyślnie zabijać człowieka, po to, żeby innego ratować z niebezpieczeństwa — ale należy uczynić wszystko, aby wyratować jednego i drugiego. Jeśli ogół lekarzy tak podejdzie do tego zagadnienia to niewątpliwie rozwinie się sztuka specjalnego pouczania kobiet w ciąży, w ten sposób, aby ocalić i matkę i płód jednocześnie.

Bardzo jest rozpowszechnione wśród ogółu mniemanie, że każdy akt zbliżenia płciowego między małżeństwem wtedy tylko jest uznany za normalny przez Kościół, jeśli ma bezpośrednio na celu potomstwo. Nie jest to jednak słuszne. Zbliżenie fizyczne służy także zacieśnieniu więzów wzajemnej miłości małżeńskiej — i ten cel jest również dobry, i całkowicie usprawiedliwia zbliżenie. Dlatego też, choć zwykle cele te łączą się ze sobą, nie jest bynajmniej niemoralnym akt małżeński podjęty wyłącznie w celu okazania miłości, bez zamiaru poczęcia, o ile małżonkowie są bezpłodni lub mają moralnie ważne powody, aby czasowo ciąży unikać. Ponieważ wszystkie sztuczne środki antykoncepcyjne, jako nienaturalne i obniżające poziom samego aktu, są bezwzględnie niedozwolone, więc wierzącemu katolikowi, któremu zależało na wiernym pełnieniu przykazań Bożych nie pozostawało dawniej nic poza wstrzemięźliwością całkowitą, jeśli ważne powody kazały unikać poczęcia. Może stąd powstało wspomniane nieporozumienie. Było tak jednak tylko dlatego, że dawniej nie znano innego wyjścia z takiej sytuacji, ale nie dlatego, że sam akt małżeński bez wyraźnej i bezpośredniej intencji dania życia dziecku miał być w swej istocie niemoralny. Dlatego też, kiedy w naszych czasach poznano lepiej fizjologię kobiety i odkryto (Ogino-Knauss), że kobieta wydziela tylko jedno jajeczko miesięcznie w czasie t.zw. owulacji i tylko wtedy może zostać zapłodniona, Ojciec Święty Pius XII-ty pozwolił na korzystanie z t.zw. metody wstrzemięźliwości okresowej opartej na tych odkryciach. Oczywiście pozwolił wtedy, jeżeli istnieją moralnie słuszne powody ograniczenia potomstwa (jak np. zbyt wielka ilość dzieci, przekraczająca możliwość ich wychowania, szczególna choroba któregoś z rodziców, ciężka praca matki, której z ważnych względów nie można zaniechać itp), gdyż uchylanie się od obowiązku posiadania i wychowania dzieci z wyłącznie egoistycznych względów na wygodę, czy możliwość utraty urody itp. jest i pozostanie niemoralne, choćby nawet żadnych niedozwolonych środków dla tego celu nie użyto.

Kilka słów o:

literaturze

MAŁO ZNANA POWIEŚĆ ROGER VAILLANDA

Goszczący w Warszawie pisarz francuski, Roger Vailland, znany jest polskim czytelnikom z przekładów: powieści „Dziwna zabawa" *(Drôle du jeu)* oraz dwu scenicznych utworów — „Abelard i Heloiza" i „Pułkownik Foster przyznaje się do winy"; mało natomiast wie się u nas o innej jego powieści — *Un jeune homme seul.* Tematem jej są perypetie młodego człowieka z rodziny inteligenckiej, który — nie mogąc przezwyciężyć konsekwencji swego pochodzenia, stara się jednak wśród gro-



Roger Vailland

teskowych powikłań kapitalistycznego świata odnaleźć „sa mego siebie". Bohater wprawdzie nie byłby niczym bez swej klasy społecznej, ale i dzięki niej nie ma szans dojścia do czegokolwiek. Autor gwałtownie, a jednocześnie bardzo dyskretnie ośmiesza i oskarża burżuazję. Znane jednak wartości pisarstwa Vaillanda, jego błyskotliwość, dowcip, umiejętność przeprowadzania tez utworów nie deklamatywnie, lecz jedynie w formie dobrze i lekko skomponowanych sytuacji — sprawiają, że nawet przeciwnicy ideowi tej książki uznali ją za bardzo dobrą.

SARTRE WEŹMIE UDZIAŁ W KONGRESIE POKOJU

Ruch obrońców pokoju przybiera na sile tak potężnie, że wciąga w swój nurt nawet ludzi o postawie społecznej bardzo odległej od postępu, ludzi, którzy dotąd znajdowali się daleko poza kręgiem walki o pokój. Ostatnio, jak donoszą pisma, wielki mistrz egzystencjalistów, Jean Paul Sartre zapowiedział swój udział w Kongresie Pokoju, który niedługo odbędzie się w Wiedniu. Sartre równocześnie zaprotestował przeciw wystawieniu swej sztuki antyradzieckiej „Les Mains sales", którą przygotowuje jeden z teatrów wiedeńskich.

muzyce

KONCERT CZŁONKÓW POLSKIEJ EKIPY KONKURSOWEJ

W związku z Międzynarodowym Konkursem im. H. Wieniawskiego, który odbędzie się w Poznaniu w pierwszej połowie grudnia br. — na terenie całego kraju urządzane są koncerty z udziałem członków polskiej ekipy konkursowej. W Warszawie koncert taki odbył się ostatnio w dniu 17 b.m., w małej, ale bardzo przyjemnej salce Zw. Zaw. Finansistów.

Wykonawcami byli: Klara Langer-Danecka — fortepian, Zenon Bąkowski i Edward Statkiewicz — skrzypce, oraz Stanisław Urstein — akompaniament. Niezbyt licznie zgromadzona publiczność przyjmowała młodych artystów bardzo serdecznie.

POLSKA ORKIESTRA W RUMUNII

W ramach polsko-rumuńskiej umowy kulturalnej wyjechała do Rumunii orkiestra Państwowej Filharmonii w Warszawie z dyrygentem W. Rowickim na czele. Orkiestra polska da szereg koncertów symfonicznych w Bukareszcie i innych miastach Rumunii.

NOWA SIEDZIBA PWM

W Krakowie w obecności Ministra Kultury i Sztuki S. Dybowskiego odbyło się uroczyste otwarcie nowej siedziby zasłużonego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Wydarzenie to zbiegło się z przekroczeniem tysiącznego tytułu wydawniczego przedsiębiorstwa.

KONCERT MUZYKI POLSKIEJ W MOSKWIE

Niedawno zorganizowano w Moskwie wieczór muzyki polskiej. W ogromnej sali koncertowej im. Czajkowskiego tłumnie zebrana publiczność wysłuchała dzieł Chopina, Noskowskiego, Wieniawskiego, Moniuszki. Wykonawcami byli: Wielka Orkiestra Symfoniczna Wszechzwiązkowego Komitetu Radiofonii pod batutą Aleksieja Kozłowskiego oraz soliści: znakomity skrzypek — Borys Goldsztajn i znany pianista Stanisław Neuhauz.

plastyce

„POLKA" PANA WATTEAU

Jednym z największych malarzy francuskich XVIII wieku był niewątpliwie Watteau— typowy przedstawiciel epoki rokoka. Tematem jego obrazów były najczęściej t.zw. „fetes galantes" zabawy dworskie, ogrody pełne pierrotów, przebranych pasterek, fałszywych świateł i miłości. Sceny te przesycone ogromnym wdziękiem i elegancją zapewniły młodo zmarłemu niespełna 37-letniemu malarzowi poczesne miejsce w histori sztuki oraz wielki wpływ (m. in. Bücher, we wczesnym okresie Goya, u nas Norblin).

W galerii malarstwa obcego w Muzeum Narodowym w Warszawie znajduje się mały obrazek Watteau zatytułowany „Polka". Kim była piękna modelka malarza, o tym historia dyskretnie milczy.

RYSUNKI SZKOŁY NIEMIECKIEJ

Gabinet rycin Luwru zorganizował wystawę rysunków szkoły niemieckiej od XV — XVII w. Dzieła takich mistrzów jak Stefan Lochner, Dürer, Cranach, Holbein, Elsheimer — ściągają tłumy zwiedzających a krytyka nazywa wystawę prawdziwą rewelacją sezonu.

SZTUKA RELIGIJNA

L'art sacré — nazywa się miesięcznik francuski poświęcony problemom współczesnej sztuki religijnej. Założyli go G. Mollard, J. Pichard, L. Salvin a redagują obecnie z pasją i znawstwem dwaj dominikanie ojcowie Couturier i Régamey. Miesięcznik stoi w ogniu dyskusji zwalczając ckliwą tradycyjną pseudosztukę a postulując silne związanie sztuki religijnej z żywym nurtem współczesności.

WYSTAWA WE WROCŁAWIU

W salach Muzeum Śląskiego we Wrocławiu otwarto wystawę pt. „Architektura rosyjska w twórczości Stanisława Noakowskiego. Wystawa zawiera prace artysty (rysunki i akwarele) przedstawiające zabytki dawnej architektury rosyjskiej. Prace te wykonał Noakowski —który był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu — w czasie pobytu w Rosji w latach 1905 — 1916.

PLASTYKA UKRAIŃSKA

W Kijowie w państwowym muzeum otwarto doroczną jesienną wystawę plastyki ukraińskiej. Na wystawie zgromadzono około 400 nowych dzieł ukraińskich malarzy, rzeźbiarzy i grafików m. inn. Michała Chmielko, Tatiany Jabłońskiej, Wiktora Puzyrkowa, Grzegorza Melichowa i wielu innych.

teatrze

Z POBYTU GOŚCI RADZIECKICH W POLSCE

155-osobowy zespół Państwowego teatru dramatycznego im. Mossowietu odznaczonego niedawno orderem Czerwonego Sztandaru Pracy dał w Warszawie szereg przedstawień sztuk współczesnych i klasycznych. Staraniem Zarządu Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki odbył się w Warszawie wieczór artystyczny. Licznie zebrani przedstawiciele świata pracy, artystów, dziennikarzy z dużym zainteresowaniem wysłuchali referatu laureata Nagrody Stalinowskiej, zasłużonego Artysty ZSRR, reżysera teatru im. Mossowietu — T. Zawadskiego pt. „Dzień dzisiejszy teatru radzieckiego" Po referacie nastąpiła cześć artystyczna z udziałem świetnych artystów Teatru im. Mossowietu.

Podobne spotkanie odbyło się w Łodzi, gdzie bawiła 12 osobowa grupa tego zespołu. Mieszkańcy Łodzi serdecznie powitali artystów radzieckich na wieczorze w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Po odczycie reżysera A. Szabsa, serdecznych przemówieniach przedstawicieli świata naukowego i artystycznego zespół artystów Mossowietu wystąpił z programem złożonym z fragmentów Gorkiego, Czechowa i inn.



Mikołaj Mordwinow w roli Otella

W dniu 15 listopada cały zespół Teatru Radzieckiego udał się do Krakowa, gdzie tak jak i w Warszawie wystąpił z świetnym repertuarem. Mieszkańcy Krakowa serdecznie powitali gości, których występy stały się ważnym zdarzeniem kulturalnym życia teatralnego Krakowa.

NOWA SZTUKA TEATRALNA NAZIMA HIKMETA

Nowa sztuka teatralna „Opowieści o Turcji" postępowego poety tureckiego Nazima Hikmeta została przełożona na język rosyjski i będzie wystawiona na scenach radzieckich.

Treścią sztuki jest sprawa sądowa wytoczona przeciwko staruszce, która zrozumiała sens i znaczenie wielkiego ruchu obrońców pokoju i pomimo ciężkich prześladowań pozostała mu wierna.

„CUD ŚW. JULIANA"

Prześliczna legenda o św. Julianie Miłosiernym — którą niegdyś Gustaw Flaubert „odczytał" z witraża katedry w Rouen, została niedawno opracowana w formie utworu scenicznego przez młodego poetę Maxa Garrica i zatytułowana „Cud św. Juliana".

To widowisko, stylizowane na średniowiecznej „Miracle" wystawił niedawno Jean Deat w starym klasztorze francuskim, w Meisac.

Wspaniały tekst oparty na prozie Flauberta, dostojne tło romańsko-gotyckich murów klasztornych, podniosły nastrój zebranych — to wszystko złożyło się jedyne w swym rodzaju przeżycie teatralne.

filmie

SCENARIUSZ PISANY PRZEZ ŻYCIE

Jednym z lepszych włoskich filmów ostatnio zrealizowanych jest film pt. „Rzym godzina 11-ta", reżyserii Giuseppe de Santisa (znanego w Polsce jako twórca „Tragicznego pościgu"). Niedawno w Rzymie wydarzył się tragiczny wypadek. Załamały się schody pod ciężarem 300-tu młodych bezrobotnych dziewcząt, które na skutek ogłoszenia w gazecie o wolnym miejscu stenotypistki, tłoczyły się przed drzwiami ewentualnego miejsca pracy. W wyniku katostrofy jedna z dziewcząt zmarła, wiele było ciężko rannych.

Postępowy reżyser, wraz z świetnym scenarzystą Zawattinim (autorem m. in. scenariusza „Złodzieje Rowerów", i „Cudu w Mediolanie") ułożyli scenariusz na tle tego wypadku wyobrażając sobie historie kilku bezrobotnych dziewcząt. Gotowy scenariusz skonfrontowano z życiem w pomysłowy sposób. Zawattini i De Santis dali takie samo ogłoszenie w gazecie o wolnym miejscu maszynistki. Efekt był niespodziewany — zgłosiło się sto dwadzieścia dziewcząt, których smutny los, to scenariusz później zrealizowanego filmu, bardzo różny od poprzedniego, ułożonego przez obu realizatorów.

czytelnicy PISZĄ

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W n-rze 42 „Dziś i Jutro" z dn. 19.X.1952 r. przeczytałem artykuł pt. „Trybun Ludu Śląskiego", który miał być zapewne recenzją książki dr. Janiny Ender o ks. Szafranku.

Autor rozpisuje się na temat Śląska i wszystko byłoby w porządku, gdyby w ostatnicj chwili nie przypomniał sobie o pracy dr. J. Ender, której poświęcił także słów kilka. Pracę tę pt. „Ks. J. Szafranek — trybun ludu śląskiego" ocenił p. Kw. w zasadzie dodatnio, przyznając jej objektywizm historyczny. Natomiast końcowa ocena wzbudza wiele zastrzeżeń pod adresem autora recenzji. P. Kw. pisze: „Wszelkie zarzuty, jakie chciałby ktoś uczynić broszurce dr. J. Ender ustają wobec faktu, że jest to wydanie popularne o przeznaczeniu informacyjnym". Będąc nauczycielem, a przy tym rodowitym Ślązakiem, interesowałem się zawsze historią Śląska i wszystkie dotychczas wydane prace na ten temat są mi znane. Dlatego też uważam, że gdyby p. Kw. interesował się sprawami śląskimi, nie pozwoliłby sobie na powyższe zdanie, gdyż praca dr. J. Ender nie jest, jak to pisze p. recenzent, broszurą informacyjną, lecz pracą nukową w ścisłym tego słowa znaczeniu, opartą na źródłach archiwalnych i przynoszącą wiele rewelacji dotąd nie publikowanych.

To, że praca ta nie jest rozmiarami wielka, to wiemy, ale wartości prac naukowych nie mierzy się na łokcie. Zapewne p. Kw. nie jest wiadome, że praca dr. J. Ender pt. „Ks. J. Szafranek" — otrzymała nagrodę Polskiej Akademii Umiejętności, a instytucja ta nie nagradzała broszur popularnych. Jeszcze dziwniej brzmi zwrot p. Kw. o poprawności historycznej powyższej książki. Gdyby pracę tę pisał przypuśćmy przyrodnik, to ocena taka byłaby zrozumiała. Jeżeli jednak autorka jest doktorem nauk historycznych i członkiem wielu instytucji naukowych — brzmi to niepoważnie i przypomina protekcjonalne poklepywanie po ramieniu pełne wyrozumiałości, że chciałoby się powiedzieć: dostateczny z plusem. Podobnie nie zgadzam się z tym, jakoby błędów zecerskich było niewiele — niestety, jest ich bardzo dużo i psują one wartość tej cennej książeczki, zmieniając często sens niektórych zdań. Np. na str. 27 zamiast parlamentu frankfurckiego wydrukowano francuskiego i tp.

Z poważaniem

J. Wilkoszewski

Wałbrzych, dn. 28.X.1952 r.

Zmierzch wielkiej nagrody

DEWALUACJA twórczej idei — jej gwałtowny upadek czy starcze zamieranie to widowisko przygnębiające nawet wówczas gdy znajomość przyczyn takiego stanu przekonuje dostatecznie o jego nieuniknionej konieczności.

Nagroda Nobla była niegdyś instytucją równie świadczącą o szlachetnych wysiłkach i możliwościach porozumienia międzyludzkiego co powiedzmy, Organizacja Czerwonego Krzyża.

Wtedy jej przyznanie było najwyższym odznaczeniem nie tylko dla talentu i dzieła pisarza. Przynosiło zaszczyt całemu narodowi, zaświadczając o jego żywotności kulturalnej i dowodząc uznania jakim się cieszy w świecie. Umiano wówczas nagradzać wartości nie fałszowane i twórców naprawdę wielkiej miary. Nazwiska G. B. Shawa, czy Karla von Ossietzkiego oznaczały przecież ludzi istotnie zasłużonych dla sprawy kultury i o sprawę tę istotnie walczących.

Ale te piękne czasy minęły dawno Dzisiaj nagroda Nobla zeszła do rzędu mało znaczącego zabiegu politycznego, choć wciąż jeszcze nikły odblask jej prestiżu pozostał nadal atrakcyjny dla wielu.

Wybór, który padł w tym roku na Franciszka Mauriaca nie zawierał nic z niespodzianki. Mauriac jest już dziś starym człowiekiem. W ciągu długiego życia napisał wiele i wydanie zbiorowe jego dzieł obejmuje parę dziesiątków tomów wierszy, powieści, nowel, utworów scenicznych, essayów i pamiętników. Krytyka oficjalna od dawna uznała w nim znakomitego pisarza a niektórzy dostrzegli w Mauriacu nawet zjawisko reprezentatywne dla współczesnej prozy francuskiej. Powszechnie uważano go za jednego z najwybitniejszych — jeśli nie za największego — pośród pisarzy katolickich. Przyznanie mu miejsca w Akademii stało się już tylko dalszą konsekwencją tego powszechnego uznania.

Istotnie zasługi Mauriaca dla literatury są znaczne i trudno w nim nie uznać jednego z mistrzów sztuki pisarskiej. Ale Mauriac nie był twórcą w wielkim stylu. Po swoich wielkich poprzednikach z których się wywodzi jego pisarstwo, po Flaubercie i Zoli — Mauriac przejął tylko pewne sposoby ich rzemiosła, umiejętność ostrej, aż bezlitosnej obserwacji, zdolność przeprowadzania analiz skomplikowanych namiętności, świetność stylu. Ale nie przejął po nich ich odwagi w sądach nad światem. Mauriac nigdy nie zbliżył się do pozycji realizmu krytycznego. Pozostając na stanowisku naturalizmu, teren swych artystycznych działań zacieśnił tylko do tego właśnie kierunku, zacieśnił go jeszcze i tematycznie do obserwacji i analizy świata mieszczańskiego, ściślej mieszczańskiego społeczeństwa prowincji francuskiej. Doszedł do mistrzostwa w malowaniu zdumiewającej brzydoty tego świata, ukazując jej bezmyślność i zabłąkanie. Z jakąś zachłanną drapieżnością, z pasją aż przerażającą demaskuje zwyrodniały egoizm, chciwość i głupotę tej klasy, rozmaite formy nikczemności władające w jej kraju. Mauriac odsłaniając wnętrza prowincjonalnych domów mieszczańskich z obsesyjnym zapamiętaniem tropi ich nie ciekawe sprawy, które w jego oświetleniu nabierają blasków demonicznych, właśnie przez swą pospolitość.

Jego świat, to świat dziwaków i wykolejeńców — świat mały i duszny — aż dławiący od stęchlizny I tu Mauriac ma znaczne zasługi. Właśnie w tym demaskatorskim stosunku do wyrodniejącej i skazanej na zagładę klasy. Ale to zapatrzenie się w jeden aspekt rzeczywistości odciągnęło jego wzrok od tego, co się dzieje poza granicami opisywanego świata. Dzieje upadku tej klasy i jej zło utożsamiał z samym życiem ludzkim, które stało się w końcu wedle jego interpretacji jakąś beznadziejną nocą, której jedyną nadzieją jest Łaska spadająca równie nieoczekiwanie i bez zasługi jak kaprys. I tak jest u niego wszędzie od „Pocałunku trędowatemu" aż po ostatnie powieści.

Ten głęboki pesymizm w poglądach na żywe i twórcze wartości ludzkiego istnienia, naprzykład na miłość — nastrój przygnębienia wiejący z kart jego książek, jakaś atmosfera fatalizmu ciążąca na wszystkich i wszystkim tworzą z Mauriaca pisarza najodleglejszego naszej epoce i jej wstrząsającej problematyce.

Ewolucje ideologiczne Franciszka Mauriaca są znane. Jego odważna postawa w czasie wojny, autorytet moralny jakim się cieszył, a którym wspomagał ruch oporu znalazły uznanie społeczeństwa, pozwalały wierzyć, że pisarz pozostanie wierny sprawie prawdziwie ludzkiej. Stało się inaczej i dziś nazwisko Mauriaca wiąże się z światem nienawiści z imperializmem, tą ostateczną konsekwencją postawy mieszczańskiej, którą przecież kiedyś sam tak namiętnie zwalczał.

Ostatnia powieść jaką napisał: „Galigai" jest jeszcze jedną analizą mieszczańskiego, rozpaczliwie tego samego świata, analizą mistrzowską, przeprowadzoną przez znakomitego stylistę. Ale cóż stąd? Jest jeszcze jednym dowodem pustki i wyjałowienia literatury już odchodzącej, i nagroda Nobla ukoronowała dzieło schyłku i zmierzchu podkreślając tylko swoją zbędność i przypominając światu o zasmucającej dewaluacji Franciszka Mauriaca.

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartalna 5,40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel. 880 71 880 26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz 11 — 13
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 3220. 3-B-28087.